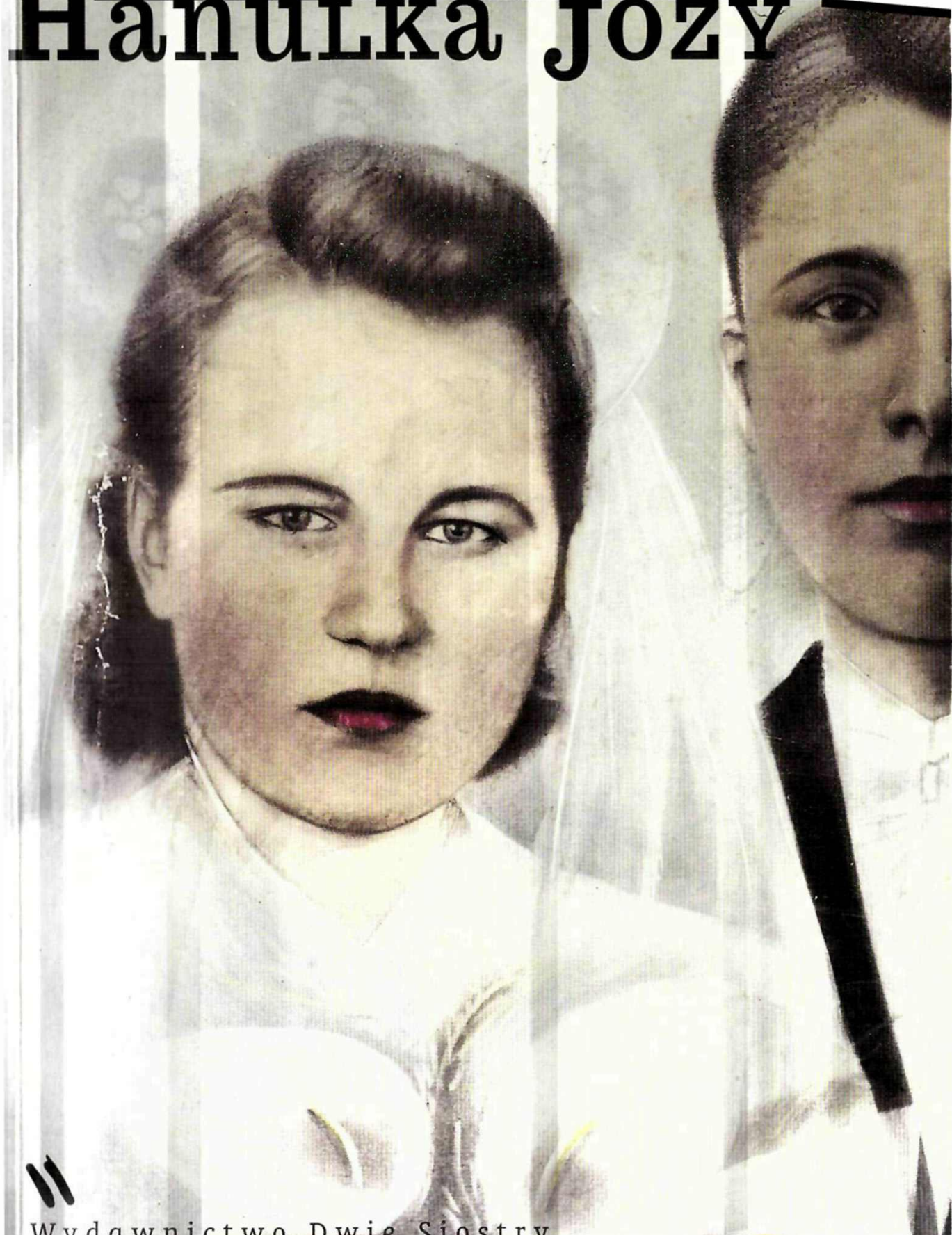


Květa Legátová



WŁASNY  
POKÓJ

# Hanulka JOZY



Wydawnictwo Dwie Siostry

K v ě t a   L e g á t o v á

# Hanulka JOZY

z języka czeskiego przełożyła  
Dorota Dobrew



Wydawnictwo Dwie Siostry, Warszawa 2008

## 1.

Znałam wszystko na pamięć. Trzypiętrowa kamienica o dwóch bramach wychodzących na dwie różne ulice, przecinające się pod kątem prostym. Przez jedną z tych bram wejść w bereg na głowie, drugą wyjść w chustce. Trzecie piętro, drzwi na wprost schodów. Dwa nazwiska: Alesz Dobrzansky, Emilia Fojtkova. Dzwonić trzy razy. W mieszkaniu będzie słycać włączony odkurzacz. Wyjmę z torby kopertę i wsunę ją pod drzwi. Nie puszcę jej, póki nie poczuję dwóch szarpnięć. Piętnaście sekund.

Zejdę drugą klatką schodową. W torbie na zakupy zostanie mi kilka rogalików i przydziałowa margaryna.

Gdyby się pojawiły kłopoty, muszę się pozbyć koperty.

Kłopoty się nie pojawiają. Jeszcze nigdy się nie pojawiły.

Podniecająca gra, w której bezpiecznie przemieszczam się po bezpiecznej drodze.

Nawet nie musiałam się specjalnie koncentrować na zadaniu. Jestem dokładna jak automat, mam to we krwi.

Na rękach czułam chłód kropelek mżawki. Ale sweter, który mam zwinięty w torbie, założę dopiero po wszystkim.

Gdybym mogła zobaczyć się w lustrze, spostrzegłabym pewnie, że się uśmiecham. Przypomniałam sobie twarz Richarda w chwili, kiedy podawał mi kopertę. W oczach miał strach. Po raz pierwszy. Niech cię Bóg prowadzi, powiedział. Bardziej niż te słowa, podobne do modlitwy, poruszyła mnie myśl o tym, co nas dzieli. Richard jest ewangelikiem ze zboru braci czeskich.

Ja w nic nie wierzę.

Idę spokojnie, bez obaw, żadnych przeczuć, chociaż z natury jestem bojaźliwa i często miewam ataki paniki. Na szczęście szybko mijają. Te fale nagłego strachu nieźle dały mi się we znaki na egzaminach – przyspieszone tętno i spocone dłonie. Richard był wspaniałomyślny, zawsze cierpliwie przeczekiwał chwilę milczenia, która była mi potrzebna, żebym się mogła uspokoić. Nigdy nie dodawał mi otuchy, nie chciał mnie zawstydząć.

Chyba go zdumiewałam swoją sumiennością. Odkrył we mnie wyścigowego konia. Już na trzecim semestrze zaproponował mi funkcję asystentki i zaczęliśmy widywać się coraz częściej. Zanim się zorientowałam, już tonęłam po uszy w uczuciu, którego nie potrafiłam utrzymać w ryzach.

Jest mi pani bliższa, dziewczyneczko, niż mogę sobie na to pozwolić. Wyniosło mnie to na najwyższy szczyt świata, aż zaczęłam się dusić z braku tlenu.

Mąż innej kobiety. Ojciec dwóch synów. Powinno mnie to było sprowadzić na ziemię, ale nie sprowadziło. Dotarło do mnie, w jak niewielkim stopniu człowiek może o sobie decydować. Jakże beztrzesko machnęłam na to ręką!

Cel mojej dzisiejszej wyprawy trzypiętrowy dom, zobaczyłam już z daleka. Jego ścianę oblepiał krwawy bryzg, afisz z nazwiskami straconych. Rumieniec czasów. *Nauczyliscie narody mówić językiem motłochu* – Vančura. Rozstrzelany w odwecie za zamach na zastępcę protektora Czech i Moraw Reinharda Heydricha, razem z tysiącami innych „zakładników”.

Przez szeroką bramę wyszłam na ulicę, po której jeździł tramwaj. Majtałam torbę na zakupy, ostentacyjnie wystawał z niej rogalik.

Przemknęło mi przez głowę nieprzyjemne wspomnienie rutynowej spowiedzi przed Slavkiem. Kiedy już wszystko mu wyrecytowałam, przypomniał: asekuracja? Otychowie z sutereny, trajkotałam naburmuszona. Zrobiłam im zakupy, jestem ich kuzynką. Co się z tobą dzieje, Slavku? Nic. Robi się z niego pedantyczny sztywniak.

Otworzyłam drzwi i weszłam do kamienicy.

Usłyszałam kroki, jeszcze zanim go zobaczyłam. Schodził prosto na mnie po schodach.

Nigdy go nie widziałam, a mimo to go rozpoznałam.

Powietrze zgęstniało. Panika. Mam się rzucić do ucieczki? To by znaczyło: przyznać się. Stłumiłam szaloną myśl, że może nie udałoby mu się mnie dogonić albo może w ogóle nie zacząłby mnie ścigać. Rączka torby kleiła mi się do dłoni. Może właśnie dzięki temu zdołałam się opanować. Niosę zakupy, moja obecność tutaj jest uzasadniona, jestem jednym z lokatorów. Chciałam rozhuścić (beztrzesko) torbę, ale sztywne ramię odmówiło mi posłuszeństwa.

Z nogami jest lepiej. Trzy stopnie w dół w kierunku drzwi, w których jest wizjer i które już są troszkę uchylone.

– Guten Tag – odezwał się.

Wydaje mi się, czy rzeczywiście ma obojętny wyraz twarzy?

– Guten Tag.

Doskonale sobie poradziłam. Co zrobi, kiedy zacznę udawać, że otwieram drzwi? Czuję na plecach jego wzrok. Czeka? Wszystkie pory mojego ciała wypełniły się potem. Skalpel. Dlaczego nie wzięłam ze sobą skalpela? Kolejna szalona myśl.

W skupieniu liczyłam sekundy, ponieważ w irracjonalnej rzeczywistości, w której się znalazłam, z jakiegoś powodu było to ważne.

Gdybym miała wybierać: umrzeć w tej sekundzie albo obejrzeć się za siebie, wybrałabym śmierć.

Nic nie widziałam, oczy zalał mi pot.

Wbiłam palce w zbawienną szczelinę i poczułam, że jest prawdziwa.

Pot ściekał mi po twarzy, usta same się otworzyły.

Mężczyzna za moimi plecami głośno stapa. Jego wolne kroki przejeżdżają mi przez mózg jak lokomotywa.

Weszłam do przestronnego, wyłożonego dywanem przedpokoju i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Wilgotnymi, zimnymi plecami oparłam się o framugę. Przede mną stało dwoje starszych ludzi. Gestem zapraszali mnie do otwartego pokoju.

– Co się dzieje? – zapytałam w sekundzie, w której odzyskałam głos.

– Dziś rano zabrali doktora Dobrzanskiego i panią Fojtková. Od tej pory się tu kręca.

– Sprawdzają mieszkania?

– Na razie jeszcze nie – oboje jednocześnie uśmiechnęli się do mnie lekko.

– Widzieli państwo, że idę?

– Tak.

Żołądek podskoczył mi do gardła.

– Niech pani siada – powiedzieli jednocześnie.

Usiadłam w fotelu przy niskim stoliku.

– Musi tu pani poczekać, aż się wyniosą – powiedziała starsza pani, zanim zdążyłam złożyć do kupy zdanie, żeby ją o to poprosić. – Napije się pani z nami herbaty?

– Chętnie.

Trochę się odprężyłam. Nie musiałam wydobyć z siebie żadnego z tych pytań, które kłębiły mi się w głowie. Powiedziane zostało wszystko, co było konieczne. Z obu stron.

Starszy pan znalazł w radiu muzykę. Z całej orkiestry słyszałam tylko partię solową skrzypiec. Dobrze, że siedziałam, bo właśnie zaczęły mi dygotać nogi.

– Mam złapać coś weselszego? – zapytał gospodarz uczynnie.

– Nie, nie! – krzyknęłam, jakby mi coś zagroził.

Zauważył, że siedzę sztywno na brzegu fotela.

– Proszę to sobie podłożyć pod plecy. – Podał mi poduszkę.

Mówił głębokim, łagodnym głosem Richarda. Serce mi się ścisnęło. Krew odpłynęła mi z twarzy, ale starszy pan patrzył w inną stronę, gdzieś w przestrzeń, unoszony mieszaniną tonów, które brzmiały cicho, ale mnie zdawało się, że grzmia.

Bezgłośnie zjawiała się gospodyni. Jedną ręką podtrzymywała przy piersiach tacę, drugą stawiała przed nami porcelanowe filiżanki. Wypełnione były na jakieś pół palca pod wrąbek. Tacę z dzbankiem odstawiła potem na blat sekretarzyka.

Obserwowałam z napięciem każdy szczegół, jakbym swoją nieuwagą mogła coś nieodwracalnie zniszczyć.

– Proszę się poczęstować. – Jej głos brzmiał młodo.

– Czy mogę umyć ręce?

Odruchowe pytanie, zawodowa rutyna. Dopiero kiedy je wypowiedziałam, zrozumiałam jego głębszy sens.

– Oczywiście – przytaknęła przepraszająco. Zaprowadziła mnie do przedpokoju i wskazała drzwi. Nie zdziwiło jej, że biorę ze sobą torbę. – Toaleta jest obok.

Umyłam lepkie ręce i dopuściłam do głosu podświadomość. Kopertę podarłam na drobne kawałeczki i spuściłam w muszli klozetowej. Przed wyjściem jeszcze raz umyłam ręce.

Potem aż do zmroku byłam całkiem spokojna.

– Psy gończe się wyniosły – powiedziała starsza pani i odeszła od okna.

– Już pójdę – przytaknęłam.

– Nie musi pani. Powinna pani u nas przenocować.

Pokręciłam głową. Uświadomiłam sobie, jak bardzo mi się spieszy i dziwne, że nie zaczęłam się znowu trząść. Przestałam myśleć o sobie. Po raz pierwszy od początku moich dziwnych działań naprawdę podejmowałam ryzyko. Założyłam sweter, zawiązałam chustkę, podziękowałam i pożegnałam się. Uznali, że wiem, co robię, i nie starali się mnie zatrzymać.

– Kadlousz odprowadzi panią do tramwaju.

Kadlousz! Wszystko jedno, którą bramą wyjdziemy. Jeśli pilnują, pilnują obu. Na pewno nie mają mojego rysopisu, być może czekają na mężczyznę.

Bryły ślepych domów są czarne, jasne jest tylko niebo.

Z nocnej mgły przyturkotał do nas dziwaczny cień. Bez słowa podaliśmy sobie ręce. Teraz nie mogę już myśleć o niczym innym, tylko o Richardzie.

Później sama się dziwiłam, że zapamiętałam, co było w ramce stojącej na sekretarzyku. Zdjęcie młodej, ładnej dziewczyny. Mniej więcej w moim wieku.

Siadam na zimnej drewnianej ławce z jedną uporczywą myślą: muszę się dostać do szpitala.

Szybko. Jak najszybciej.

Tramwaj gorliwie tarabani się po szynach, ale ja mam wrażenie, że się wlecemy. Coś się dzieje z czasem. Nie mija. Tylko się rozciąga, jakby był z gumy, a potem nagle się kurczy. Nie tylko czas, przestrzeń też zachowuje się

dziwnie. Przez tę szczelinę, która przed nami widnieje, nie możemy się przecież prześlizgnąć.

Brakuje mi tlenu.

Przechodzę na platformę. Głęboko wdycham gorzkawą ciemność. Spocone plecy liże mi wilgotny jęzor.

Motorniczy – jakiś szaleniec – dzwonkiem wita pusty, niewidoczny przystanek. Mój jedyny współpasażer wysiada.

Tylko nie to!

Właśnie że tak. Cały świat sprzysiął się przeciwko mnie.

Wagon podskoczył i spróbował podciąć mi nogi. W końcu to tylko puste blaszane pudło z upodobaniem do głupich żartów. Wlecze się jak ślimak – a dla mnie w tym wyścigu stawką jest życie.

Wysiadam z dławiającym poczuciem winy.

Richarda nie było w gabinecie. Ucisk w piersiach się wzmacniał. Usiadłam w jego fotelu i kurczowo ścisnęłam poręcz.

Do tej pory zawsze było to takie łatwe. Wrzucić kartkę do właściwej skrzynki. Odpowiedniemu człowiekowi przekazać zaszyfrowaną wiadomość. Położyć kopertę w wiadomym miejscu.

Niczego więcej ode mnie nie wymagano.

Nigdy nie obawiałam się żadnego nieszczęścia. Było to dla mnie jak dziecięca zabawa. Czerwone płachty na murach nie miały z tym związku. Przeciwnie. Im dłużej wykonywałam zadania, nawet nie wiedząc, jakie, tym głębiej byłam przekonana, że gram zawsze kartą, która bije. Byłam częścią dobrze działającego mechanizmu. Nikim ważnym, ale przecież łączniczką Richarda... Serce znów mi podskoczyło. Wezmę coś na uspokojenie.

Albo nie. Lepiej zajrzę do mojego osobistego pacjenta, Jozy. To mój pierwszy poważny przypadek. Już trzeci miesiąc się z nim cackam. Poskładałam mu kości, pozszywałam go, na własną rękę poprawiłam mu nos, oddałam mu swoją krew.

Tak naprawdę nie powinien się znaleźć w naszym szpitalu. Przywiózł go przyjaciel Richarda skądś spod słowackiej granicy, jako ciekawostkę. Można



powiedzieć, że w beznadziejnym stanie. Połamany, pokaleczony, wykrwawiony niemal na śmierć.

Richard przyszedł do mnie, kiedy już zdejmowałam fartuch i zbierałam się do wyjścia po nocnym dyżurze.

– Mamy tu chłopaka, Eliszko, dla którego musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy. Przysłał go mój kolega ze studiów. – Spojrzał na mnie. Wiedział, że nie odmówię. – Trzeba mu natychmiast podać krew.

Zdjęłam żakiet i powiesiłam go na wieszaku.

– Wehrmacht zarekwirował nam dawców – ciągnął. O tym oczywiście wiedziałam.

– Jaką ma grupę?

Nie musiałam pytać.

– Twoją.

Skinęłam głową. Richard mnie objął i pocałował w czoło.

Kiedy potem zobaczyłam Jożę, miałam wrażenie, że widzę dzwonnika z Notre Dame. Mimo że jego stan był poważny, siostry popatrywały na siebie z uśmieszkami. Prowokowała je do tego twarz pacjenta. Nieludzka, wykrzywiona maska. Zmyłam im za to głowę. Ten rodzaj komizmu do mnie nie przemawia.

Po tygodniu już było wiadomo, że Josef Janda uciekł grabarzowi spod łopaty, a Richard przydzielił go mnie. Zajmowałam się nim z przejęciem. Prostak z dalekich gór, który wnosił tu posmak egzotyki, nie krył radości za każdym razem, kiedy mnie widział.

Siostry znacząco trącały się łokciami, ale bardzo Jożę polubiły. W pięćosobowej sali był pacjentem bezproblemowym. Za to nieźle dał im się we znaki staruszek z zaawansowaną demencją, który w środku nocy wzywał pomocy krzyczał, że jest tu przetrzymywany siłą, że nie pozwala mu się wyjść z połamanyimi nogami i że prosiak nie dostał koryta. Pobił się z sanitariuszem, który wioził go na rentgen, i wzywał policję. Joza, jedyny, który wysłuchiwał jego wrzasków, został przez siostry użyty (było to raczej nadużycie) w charakterze paralizatora. Przesiedział przy nim całą noc, a dziadek zwracał się do niego na zmianę: siostrzo albo panie przewodniczący.

W ciągu tych dwóch miesięcy bardzo się z Jozą zbliżyliśmy. Odkryłam, że ma niezwykle dar. Umiał opowiadać. Wkrótce ziemię, z której pochodził, znałam jak własną kieszeń. Gęste, niekończące się lasy, skały, otwarte przestrzenie, źródelka, rwące górskie potoki, drewniane chaty. W dolinie huczała rzeka, w której falowało zmieniające się niebo. Górską wioska nazywała się Żelary. Mieszkał w niej, ale urodził się gdzie indziej. Pochodził z równin porośniętych łąkami pszenicy i winnicami, z mnóstwem bogatych gospodarstw. Tam spędził młodość, najpiękniejszy okres swojego życia. Opowiadał, jak na pastwisku opiekali w ognisku kukurydzę albo ziemniaki, jak zrywali owoce, nosili bydłu wodę, wiązali snopki, czyścili rzepe, sprząтали w oborach, cięli drewno, naprawiali narzędzia. Najzwyklejsze wydarzenia w opowieściach Jozy zyskiwały poetycki koloryt.

Nie mogłam się nadziwić, jak głębokie uczucie łączyło go z matką. Stracił ją, zanim skończył trzynaście lat. W wieku piętnastu lat odszedł do Żelar, żeby u miejscowego kowala wyuczyć się rzemiosła.

Bardzo chciałam poznać Żelary. Przejść się po krętych ścieżkach wysoko ponad rzeczonym wąwozem, poczuć miękkość mchu, zbierać rydze, pić z leśnych źródełek, zaglądać do skalnych rozpadlin, patrzeć na pasące się bydło i końskie zaprzęgi, a zimą – na anielsko biały śnieg.

W krótkim czasie dotarłam do źródła, z którego brała się sugestywność opowiadań Jozy. Była to jego dusza. Opowiadał mi różne bajki. Niesamowite było, że naprawdę je przeżywał.

Nie przeszkadzały mi uśmieszki kolegów, kiedy przesiadywaliśmy z Jozą nad herbatą przy stoliku na korytarzu. Nie mogłam się nasycić poetyckim pięknem prostych, niewydumanych słów.

Tylko jedna opowieść była smutna. Historia córki kowala, Madlenki, która odebrała sobie życie w dwa tygodnie po przyjęciu Jozy do szpitala. Te wiadomość przyniosła starucha, której nie widziałam, ale opisano mi ją jako relikwinię minionych stuleci. Nikt jednak nie umiał powiedzieć, co sprawiło, że nie pasowała do współczesności.

Posiedziała przy Jozie niecałą godzinę. W tym czasie w sali, w której nieustannie słychać było wrzaski, zapadła cisza, a jedynym dźwiękiem był jasny i podobno zadziwiająco melodyjny głos starej. Joza zwracał się do niej: kmoterko. Podchodziła do każdego na sali i ze znanstwem wypowiadała się na temat jego stanu. Mówiła do nich: chłopcy, i zachowywała się tak, że czuli

się, jakby uczestniczyli w jakimś tajemniczym obrzędzie, który miał się zakończyć wtajemniczeniem.

Stan ogólnego zauroczenia najlepiej wyraził sklerotyczny dziadek – kiedy wychodziła, pożegnał ją słowami: z Bogiem, wielebny panie!

Następnego dnia jedna z sióstr zwierzyła mi się, że stara zostawiła dla Jozy czarodziejskie zioła do parzenia.

Ku memu zdziwieniu – rzeczywiście pomagały.

Próbowałam wyciągnąć z sióstr więcej szczegółów, ale tylko bojaźliwie wzruszały ramionami.

Wszystko zrozumiałam, kiedy potem sama stanęłam twarzą w twarz z Lucką Vojniczową.

Joza miał łzy w oczach, kiedy opowiadała mu o Madlence.

– To była pańska dziewczyna? – wyrwało mi się.

– Nie, ale ja ją nosiłem.

– Gdzie pan ją nosił?

– Jak było ciepło, to wynosiłem ją przed dom, a wieczorem – na górę na poddasze. Madlenka była kulawa. Od rana do wieczora haftowała.

Od tego sama bym wyskoczyła przez okno, nawet gdybym nie była kulawa.

Richard, zawsze taktowny, uśmiechał się, kiedy widział mnie z Jozą, czasami się ze mnie podśmiewał. Radoslav Chladek, mój kolega z wydziału, powiedział:

– Ten wsiok jest w tobie zakochany.

Zirytowało mnie to.

– Dajże spokój, Slavku.

– Żebyś się czasem nie zdziwiła, Eliszko, znam dobrze te typy.

Taka surowa niechęć była u niego czymś niezwykłym. Zaczynałam mieć tego dosyć. Sam jesteś takim typem, odparowałam mu w duchu. Miałam ochotę się z nim pokłócić. Ale mówiłabym już do jego pleców. Zresztą Slavek może mi powiedzieć wszystko. Od czasów wspólnych studiów jest moim najlepszym kolegą, czymś więcej niż brat.

Razem z fantastyczną paczką przyjaciół złaziliśmy wszystkie lasy koło Vranova, Ochozu, Adamova, także wzgórza w okolicach Bilovic nad Svitava, znane nam z wierszy Neumanna. Całymi dniami chodziliśmy po górach i dolinach, chłopcy mieli już dosyć, ja nigdy. Ruch był dla mnie podstawą życia. Serce, płuca, nogi miałam w doskonałym stanie. Kiedy uczyłam się do egzaminów, chodziłam wokół stołu.

Błaznowaliśmy, wymyślaliśmy zwariowane gry, oddawaliśmy się bez reszty wygłupom i żartom i cieszyliśmy się, że przechodnie patrzą na nas jak na wariatów. Bez żadnego powodu zwijaliśmy się ze śmiechu. Parodiowaliśmy operacje. Śpiewaliśmy przy ognisku. Richard powinien już tu być. Usłyszałam kroki i zerwałam się z fotela. – Slavek!

## 2.

– Znikniesz – oświadczył Radoslav Chladek, mój najlepszy kolega. Tu masz pieniądze i kartki na żywność, kenkartę i inne papiery, i jeszcze życiorys, którego nauczysz się na pamięć, a potem zniszczysz. Trzymaj, rozkład jazdy.

– Zwariowałeś, Slavku.

– Nie zwariowałem. Dobrzansky i Fojtkova wpadli i nie wiadomo, czy nie zaczną sypać.

– Skąd wiesz? – jęknęłam.

Nie odpowiedział.

– Przecież oni mnie w ogóle nie znają. Nigdy w życiu mnie nie widzieli.

– Pojedziesz razem z tym góralem z Małpich Gór.

– On wychodzi dopiero za trzy dni.

– Właśnie go wypisałem.

– Ty?

– Teraz uważaj. Pojedziecie karetką. Kierowca wysadzi was w Krzenovicach.

– Jezu! Co będziemy robić w Krzenovicach?

– Zaraz mnie krew zaleje! Skup się w końcu! Tutaj już nie możesz się pokazać. I zapuść włosy.

– Slavku – powiedziałam z rozpaczą – przecież musisz mi powiedzieć...

– Przestań się trząść, wszystko jest załatwione. No już...

Objął mnie. Kiedy dotarło do niego, w jakim jestem stanie, zdobył się na delikatność.

– A Richard? Co z Richardem? Muszę porozmawiać z Richardem!

Zmienił ton.

– Nie będziesz z nikim rozmawiać, spakujesz się i jedziesz.

– Chcę to usłyszeć od Richarda!

– No dobrze – odciął się ze złością. – Richard wyjechał z kraju.

Znów położył mi ręce na ramionach.

– Będziesz miała czas to sobie przemyśleć.

Spróbowałam się roześmiać.

– Dlaczego kłamiesz? Myślisz, że można tak z dnia na dzień wyjechać z kraju? Powiedz mi, co się stało. Ja to muszę wiedzieć, a ty wiesz, że wszystko zniosę.

– Richard wyjechał. – Wciąż trzymał mnie za ramiona, pewnie ze strachu, że osunę się na ziemię.

– Nie rozmawiaj ze mną jak z idiotką!

– Pamiętasz tę szycę, którą tu niedawno operowaliśmy? No więc złóż to sobie jedno z drugim. A teraz już nie zwlekaj.

– Slavku?!!

– Jasna cholera! Mam ci przypomnieć, że żona Richarda jest Austriaczką?!

– To znaczy, że Richard zwał i zostawił nas na pastwę losu? To chcesz mi wmówić?!

Krzyczałam. Czulałam, jak krew uderza mi do głowy.

– Wiem, co czujesz, i szanuję to. Dam ci coś na uspokojenie.

– Nie! – Mój głos wprawił ściany w drganie. – Nikt mi nic nie powiedział, kiedy szykował się ten cyrk! Dlaczego tylko ja nie wiedziałam, co się święci?!

– Uspokój się – szeptał z naciskiem – nikt o tym nie wiedział.

– Ale wy byliście przygotowani! Ja nie jestem przygotowana! Ja nie!

– Milcz, na miłość boską! – huknął na mnie. Instynktownie obejrzał się za siebie.

– A gdzie ty pojedziesz?

– O mnie się nie martw.

Patrzyliśmy sobie w oczy. Zaczynałam pomалу rozumieć sytuację. Nie wiedzieli, że będzie wpadka. Przecież wtedy nie posłaliby mnie do Dobrzanskiego i Fojtkovej. Moja szpara ratunkowa w drzwiach była doskonałym rozwiązaniem na wszystkie okoliczności.

Olśniło mnie, jak często mi się zdarzało w chwilach pełnych napięcia: to Slavek, nie Richard, był mózgiem całej akcji.

Najchętniej zaniósłabym się płaczem, wtulona w ramiona Richarda. Tylko on może sprawić, żebym wzięła się w garść. Teraz, kiedy opuściły mnie rozsądek, siła i wola – o ile w ogóle kiedykolwiek je miałam.

– Co mam robić? – zapytałam z pokorą.

– Pakować się – powiedział łagodnie. – Pojedziesz z Jozą do jego Koziej Wólki i tam za niego wyjdiesz.

Zdradził mnie w chwili mojej największej słabości.

– Wyjdę za niego?! – wrzasnęłam. – Co ty bredzisz?

– Po drodze to zrozumiesz. Mam nadzieję, że nie przyjdzie ci do głowy posyłać tu jakiegoś listu czy wiadomości. Wyjechałaś z kraju z Richardem. Wasz romans jest na szczęście publiczną tajemnicą... To dość wiarygodna wersja dla gestapo. Richard – jego wyraz twarzy wprawił mnie w zakłopotanie – jak wiesz, czasami operował też w Wiedniu...

– Nigdzie nie pojedę, Slavku.

Jakbym niczego nie powiedziała.

– Nigdzie nie pojedę, słyszysz! Postanowiłam zostać.

Jakbym niczego nie powiedziała.

– Masz coś w domu? – zapytał. – Ulotki, książki...?

– Nie. – Potem sobie przypomniałam. – Tylko tę broszurę, z Czechosłowacją w koronie cierniowej na stronie tytułowej. Tę od Maxy.

– Gdzie to masz?

– W biblioteczce, pomiędzy Čapkiem i Březiną. Wpadnę po nią.

– Nie ruszysz się stąd na krok. Daj mi klucze.

– Przepraszam, Slavku – powiedziałam potulnie. – Myślałam, że nic nie może się stać.

– Ja też – uśmiechnął się.

Wiedziałam, ile go ten uśmiech kosztuje.

– Klucze.

Podalam mu klucze, których może już nigdy nie będę potrzebować.

– Slavku, schowaj gdzieś mój złoty zegarek. Jest w bielizniarce pod ręcznikami.

Mój proszący głos był głosem umierającego, którego ostatnia myśl koncentruje się na szafie po prababci.

– Dobrze.

Na twarzy miał wypisane, co myśli o moim schowku.

– Dam go Zorce na przechowanie.

Zorka to jego dziewczyna.

Gdzieś bił zegar. Może tylko w mojej wyobraźni.

– Slavku – złapałam go za rękaw.

– Co takiego?

– Pojedź ze mną.

Zamiast odpowiedzi stuknął się w czoło.

– Weź się wreszcie w garść. – Z trudem się opanował. Najwyraźniej miał ochotę mnie uderzyć.

– Weź sobie coś na uspokojenie. – Rozejrzył się po pokoju. – tu jest jakaś torba, chyba Kosiny. Zapakuj do niej te szmaty, które u nas służą za koszule nocne. Nie zapomnij o mydle, ręcznikach, weź kilka fartuchów. – Wpychał do torby, co mu wpadło pod rękę. – Ten kmiotek spadł ci z nieba. Nie musisz się go bać. On cię nie opuści, nawet gdyby miał to przyplącić życiem.

Byłam w szoku.

– Powiedziałaś mu wszystko?

– Postawiłem na niego.

Jego spojrzenie było mi podporą, dopóki nie zebrałam sił. Poczułam, że mam w środku nakreconą sprężynę. Za dziesięć minut byłam gotowa.

Joza już czekał. Miał na sobie płaszcz Slavka, na szyi jego szalik, a w rękę jego teczkę. Drugą rękę miał na temblaku, obandażowaną aż po ramię.

– Co to? – przestraszyłam się świeżego opatrunku.

– Bandaż elastyczny, a pod nim kilo waty. Może ci się przydać.

Spokój i pewność siebie Slavka już mi się udzieliły. Zaczynałam rozsądnie myśleć.

– W górnej szufladzie komody są nasze zdjęcia z wędrówek, Slavku.

Popatrzył na mnie z uznaniem.

Przyjechała karetka. Uświadomiłam sobie jasno, jak silne są więzy, które mnie łączą ze Slavkiem, jak jest mi drogi. Zanim zdążyłam mu to powiedzieć, auto ostro ruszyło.

### 3.

Z Krzenovic tłukliśmy się cuchnącymi pociągami osobowymi do tych Żelar Jozy, które już nie jawiły mi się tak sielankowo. W na wpół pustych lodowatych wagonach Joza otulał mnie płaszczem Slavka, bo nie miałam ze sobą nic ciepłego oprócz swetra. W jednej kieszeni namacałam dwie czyste chustki do nosa, w drugiej scyzoryk.



Bezmyślnie grzebałam w teczce. Męska bielizna, męskie buty, męska piżama, maszynka do golenia z paczką żyłek, chustki do nosa, serwetki (pocięta lignina), lekarstwa. Na górze termos z herbatą i torebka z jedzeniem.

Moja kenkarta. Wpatrywałam się we własne zdjęcie. Nazywam się Hana Novakova.

Zanim dotrzemy na miejsce, muszę się nauczyć życiorysu.

Podskakujący wagon wytrząsał ze mnie duszę. Pełno w nim było skrzatów, które tłukły we mnie młoteczkami. Kuliłam się i chowałam przed nimi pod płaszczem Slavka, ale skrzaty były na to za cwane, wślizgnęły się pod podszewkę.

Odczuwałam głęboką niechęć do siebie.

Było mi z tym dobrze.

*Wciąż głębsze koleiny, smagnięcia smolnej grzywy!  
Wy nie do pokonania, wy po tysiąckroć żywi!  
Nie odbierajcie mi mojego poniżenia!*

Wiersze Slavka.

Nie!

Brzęczące szyny podśmiewały się ze mnie.

*Was zranić niepodobna, choć z ciał wydarte żyły,  
przekleństwo losu na tych, którzy się odważyli...*

Oto czym stał się mój przyjaciel.

Poetą śmierci.

A tak niewiele brakowało: austriacki błazen miał zginać, rażony naszym wzrokiem.

Staliśmy na placu Dominikańskim tuż za kordonem policyjnym, mając za plecami tłum, trzymaliśmy się za ręce, a kiedy Hitler przejeżdżał wolno obok nas, przez kilka sekund wydaliśmy go na pastwę siły naszej skoncentrowanej nienawiści.

Celowaliśmy prosto w oczy.

Patrzył na nas, wydawało się, że usilnie, ale to nie było spojrzenie. Nie była to też tarcza.

To, co przejeżdżało obok nas, ten człowiek z bezdusznym wyrazem twarzy, był w mniejszym stopniu żywym tworem niż kamień. Ten, na którego czekaliśmy nie pojawił się.

Patrzyłam na niego oczyma lekarza. Zgięta w łokciu ręka musiała mu zdrętwieć – tak naprężonego łapska nikt nie byłby w stanie długo utrzymać w tej pozycji.

Otrząsnęliśmy się jak psy po deszczu.

Gdybym teraz opowiedziała to Jozie – czy mógłby to zrozumieć?

Siedzi naprzeciwko mnie, w twarzy pustka. Jeżeli śpi, to z otwartymi oczyma.

Będiesz miała czas się z tym oswoić, powiedział Slavek.

Czas mam.

Richard, ten podły zdrajca, niczym wobec mnie nie zawinił. Nastawił dłoń, a ja mu do niej wpadłam.

Ile nas było, tych, do których mówił: dziewczyneczko?

Mąż innej kobiety, ojciec dwóch synów.

Potrzebował oddanej duszy, która będzie bezbłędnie wykonywać polecenia, a ja wygrałam konkurs.

Mój przyszły mąż, półanalfabeta i prymityw, z którym nic mnie nie łączy, a który mimo to wywozi mnie Bóg wie dokąd, właśnie się budzi. Jego szare oczy są intensywnie wymowne, ale dla mnie ich wyraz jest obcy i niezrozumiały.

Bez żadnej sensownej przyczyny, w strumieniu luźnych skojarzeń przypomina mi się inna twarz – Przemyśla Maxy. Po raz ostatni widziałam go za oknem brneńskiej katowni, dawnej uniwersyteckiej bursy. Przyciskał do szyby obandażowaną głowę, gładził się po policzku na znak, że nas poznał i że gorąco pozdrawia.

Ludzie przechodzili tamtędy niby przez przypadek, niby przez przypadek spotykali znajomych i zatrzymywali się z nimi na słówko. Ze światem za oknami porozumiewali się rzucanymi ukradkiem spojrzeniami.

Łańcuch przypadków był płynny i przebiegał pozornie niezauważalnie. Kto wie, skąd nam robili zdjęcia i kiedy z nich skorzystają.

We wsi, w której uczył, Maxa urządził kolonie dla dzieci pod auspicjami powiatowej opieki nad młodzieżą czeską. W czasie urlopu pracowałam tam jako pielęgniarka.

W tym samym czasie we wspaniałym budynku obok miejskiej pływalni Hitlerjugend ćwiczyło swoje militarne gry.

Pod nosem hajlujących hitlerowców powstawały fałszywe legitymacje, drukowano nielegalne publikacje, spotykali się podejrzani goście.

Maxa w czasie swoich częstych wizyt w Brnie nocował u Slavka.

Wieczorem najczęściej chodziliśmy do teatru.

Höger, Fabiánová, Gräfová, Urádková, Kurandová, Deyl, Leraus, Skřivan...

Żeby się pani nie przestraszyła, Eliszko, będę płakać – powiedział po przedstawieniu *Pięści* Jaroslava Hilberta.

Rzeczywiście płakał.

Niedługo po tym wpadł w ręce gestapo. Męczyli go pół roku, ale nie wyciągnęli z niego ani jednego nazwiska. Umarł „na Richoty”, jak głosiło zawiadomienie wysłane jego żonie i trójce dzieci, z wyrazami żalu.

Czy Slavek znalazł tę książkę, która mogła kosztować mnie życie?

#### 4.

Pociąg łomocze pode mną w rytmie kroków podkutych butów.

Przeżyć kilka miesięcy. Bałam się pomyśleć: lat.

– Nie patrz do góry, patrz w dół – mówiła babcia.

Patrzę w dół i dostaję zawrotu głowy. Walczę ze złudą wszystkich tchórzy, z pragnieniem, by uratować się samobójstwem.

Są granice wytrzymałości, babciu. Przeżyć za wszelką cenę? Stać się szmatą na czyimś progu?

Właśnie do tego gnam bez opamiętania.

Spojrzałam ukradkiem na łapska Jozy, spoczywające na podolku. Będę wydana na ich pastwę.

Nie mogłam oderwać od nich oczu. Rozpłakałam się w głębi duszy. Bezgłośny płacz, tak samo jak kiedyś. Na twarzy miałam pewnie tamten kamienny wyraz, którym dodawałam sobie sił.

Uważany był za przejaw buntu.

Co zrobiłby ten facet siedzący naprzeciwko, gdyby wiedział, że płaczę, i gdyby się domyślił, dlaczego?

Zatrzymałam się przy tej myśli. Właściwie – dlaczego?

Popatrzyłam Jozie prosto w oczy. Odwrócił wzrok. Nie miał ochoty ani odwagi rozmawiać oczyma.

Łapy położył na kolanach.

Zabroniłam sobie na nie patrzeć.

Przeżyć kilka miesięcy. Setki dni, tysiące godzin.

Przez okno zawiewał zimny wiatr, ale ja byłam zlana potem.

Czułam, że ulżyłoby mi, gdybym wypowiedziała imię Ri- charda.

Richard – westchnęłam.

Mężczyzna, który miał się stać moim panem, podniósł na mnie wzrok.

Nie zadał żadnego pytania.

Cisza napinała się między nami jak lina, po której żadne z nas nie miało zamiaru przejść.

W szpitalu, kiedy był moim rozpieszczanym pacjentem, mówił dużo i bez zahamowań. Jak mam teraz rozumieć to zacięte milczenie?

Coś między nami spróchniało.

Staram się przypomnieć sobie, co wiem o wsi. Spędziłam tam wszystkiego może kilka tygodni, u ciotki Jirziny.

Las. Wyprawy na grzyby, zbieranie jagód i malin.

Ciotka Jirzina przy kuchni albo w oborze.

Wuj Jakub przy winie z kolegami.

Kiedyś wziął mnie ze sobą w nocy na ambonę, ale mu tam usnęłam. Obudził mnie wystrzał i zaczęłam krzyczeć. Dostałam parę razy po twarzy i wracaliśmy do domu.

Rozwścieczony ciągnął mnie za rękę, potykałam się o jego nogi, a on włókł mnie, zamiast zastrzelonej sarny.

Wcale się nie zdziwiłam, kiedy ciotka Jirzina od niego odeszła. Znalazła sobie pracę kucharki w jakiejś podłej robotniczej jadłodajni. Wszystkie sąsiadki jej zazdrościły i wszystkie ją potępiały,

Ja ją podziwiałam.

Mniej więcej to samo rysuje się przede mną. Joza na pewno pije. Karczma i koledzy. Dla mnie na mój małżeński okres przejściowy kuchnia i obora.

Patrzyłam przez okno i myślałam o ciotce Jirzinie. Nie mam jej odwagi i nie umiem gotować.

U ciotki Jirziny przeprowadziłam swoją pierwszą operację. To była kura z naroślą na jednej łapce. Nie mogła na nią stąpnąć.

Podniosłam ją i obmacałam twardą kulę.

– Trzeba to wyciąć, ciociu.

Ciotka myślała raczej o rosole niż o interwencji chirurgicznej, ale zrozumiała, czego pragnę.

Przyniosła brzytwę wuja, gazę, szklaneczkę żytniówki, igłę i nici.

Wsadziła sobie kurę pod pachę, pogłaskała ją i unieruchomiła w lekkim uścisku.

Na mnie zwałił się ciężar odpowiedzialności. Nagle przeraziłam się, że sobie nie poradzę.

– Nie musisz się niczego bać – powiedziała ciotka Jirzina, bo umiała czytać w myślach, przynajmniej w tych moich.

Wzięłam głęboki oddech, pogłaskałam piórka, a potem cieniutką kostkę nóżki.

Pomału, warstwa po warstwie, usuwałam zrogowaciałą skórę, pogłębiałam krater, aż uznałam, że dotarłam do żywej tkanki.

Nie wypłynęła ani jedna kropla krwi.

Oczyszczoną ranę zalałam resztką wódki, przykryłam tamponem i ściśle zabandażowałam. Nie musiałam szyć.

Kura uwolniona z uścisku rozkraczyła się, zbadła opatrunek, dziobnęła go, zamachała skrzydłami i uciekła.

– Ciociu!

– No widzisz, Eliszko!

Do wieczora bandaż był rozdziobany, rana zapaćkana gnojem, a kurka wyleczona.

Joza się na mnie gapi.

Jeszcze wczoraj nawet go lubiłam, dziś go nienawidzę.

Człowiek sam nie wie, ile może wytrzymać – mówiła babcia.

Ale ja wiem, babciu. Ja nic nie wytrzymam.

Każdy jest tym, kim przyszedł na świat.

Babcia urodziła się wieśniaczką i do miasta przyniosła ze sobą wieś.

Zadziwiała mnie wyliczanką różnych niezrozumiałych czynności. Wytłukiwanie bielizny w potoku, maglowanie drewnianym wałkiem, płukanie maku, moczenie lnu, okrawanie ziarna na kaszę, suszenie cegieł.

Do końca szkoły mieszkałam w domku, który zbudowali razem z dziadkiem własnymi rękoma. Na starej maszynie babcia uszyła mi sukienkę na maturę – przerobiła ją ze swojej żałobnej sukni.

Wagon łomocze, a ziemia gdzieś pod nami trzęsie się ze strachu. Te podziemne gromy są dla mnie torturą.

Panika, moja przyjaciółka na śmierć i życie, nakłania mnie do wrzasku. Panie Janda, ja jestem chora! Dostałam pomieszania zmysłów! Do dzisiaj jakaś siła trzymała mi głowę nad wodą, ale z tym już koniec. Już pływam brzuchem do góry jak śnięta ryba.

Zagryzłam wargę, wypłynęła z niej kropla krwi. Joza to zauważył.

– Co się pani stało?

Antypoda.

– Nic. Ten pociąg strasznie trzęsie.

Oblizalam wargi. Patrząc na jego wyraz twarzy, zdobyłam się na idiotyczny uśmiech. Serce zaczęło mi łomotać, oddychałam jak alpinista.

– Powinna się pani trochę przespać. – Wskazał kątek koło drzwi.

Schowałam twarz pod płaszczem Slavka. Tak, zniknęło wszystko, czego nie chcę.

Jest letnie popołudnie, siedzimy na pagórku i gadamy. Świat leży nam u stóp.

Z arogancją typową dla ignorantów wierzyliśmy, że znamy rozwiązanie wszystkich problemów, starych jak sama ludzkość. Na przykład sens bytu załatwiliśmy idealnie: jeśli założymy istnienie przyczynowości, to teraz przeżywamy swoją własną przeszłość.

Już nigdy nie będę czuła tak bezbrzeżnej, tak szaleńczej wolności.

Już nigdy?!

Razem z Zorką przeżyłam ostatni zjazd Sokoła. „Pozostaniemy wierni”. O mało nie zemdlałyśmy z dumy.

Grupka austriackich Czechów. Idą w milczeniu pod flagą ze swastyką, chronioną z obu stron kordonem policji. Dotąd nietknięta, roześmiana Praga wiwatuje na powitanie przyszłych męczenników.

Czerwone płachty z czarnymi literami.

Ja żyję.

Ale tylko jak kępka trawy w skalnym załomie. Skazana na miłosierdzie śniegu, słońca, wody.

Joza podaje mi jabłko. Kręcę głową. Myśl, że miałabym poruszyć szczęką, napawa mnie wstrętem.

Zawsze myślałam, że kocham samotność. To dlatego, że zawsze mi jej brakowało. A później – dlatego, że znalazłam w niej kryjówkę dla swojej miłości.

Teraz dowiedziałam się, co znaczy samotność. Wypadnięcie z szyn. Błędne koło.

Lodowatymi palcami zaczęłam kartkować rozkład jazdy. Jeszcze raz musimy się przesiąść. Będziemy w drodze niemal cały dzień.

Za oknem od dawna było ciemno, rzeczywiście powinnam się trochę przespać. Ale do przesiadki zostały dwie godziny, jeśli teraz wezmę proszek, będę nieprzytomna.

Joza się gapi.

Niech pan coś zje, Jozo.

Ja też nie jestem głodny.

W ten sposób chce się do mnie zbliżyć. Możliwe, że mnie kocga. Slavek rzadko się myli. Co znaczy miłość dla takiego człowieka jak Joza?

Gdyby tylko te malutkie młoteczki tak mnie nie tłukły w skroń! Postanowiłam, że wezmę belaspon na sen i poprosiłam Jozę o herbatę. W trzęsącym się wagonie wylałam ją całą na siebie.

Bez sensu zatęskniłam za Richardem. Był zdrajcą, ale godziny, które z nim spędziłam, były piękne. Miał – aż w nadmiarze – wszystko, co było dla mnie cenne: inteligencję, wykształcenie, takt.

Miłość jest naszym osobistym problemem, trofeum albo tragedia, i nie ma znaczenia, czy jest odwzajemniona. Coraz mniej miałam za złe Richardowi to, co nam wszystkim zrobił. Oczekiwałam od niego cudu, a to był mój błąd w logicznym myśleniu. W partii, która już została rozegrana, widziałam wszystkie pola i znałam rozstawienie figur.

Doskonała studentka, całkiem do rzeczy, odpowiedzialna. Idealny obiekt. W końcu chyba ją trochę kochałam, będę mieć wyrzuty sumienia – przez jakiś czas.

Było to tak powszechne i ludzkie.

Zamiast Richarda naprzeciwko mnie siedzi Joza Janda, poskładany do kupy obcy mężczyzna, obserwuje każdy mój ruch, a spojrzenie ma drętwe.

Nie mamy o czym rozmawiać. I właśnie za tego człowieka, jeżeli chcę ująć z życiem, muszę wyjść za mąż. I jeszcze poprosić go o rękę. Zrobiło mi się słabo.



– Jozo – odezwałam się cicho – pan wie, w jakiej jestem sytuacji.

– Tak.

– Muszę się gdzieś ukryć.

Nie odpowiedział. Nie wyczuł w tym stwierdzeniu żadnego pytania. Oczywiście, nie wyjdzie mi naprzeciw, temu osłu muszę wszystko wyłożyć, kawa na ławę.

– Czy pan mógłby się ze mną ożenić?

Już to mam za sobą. Jeżeli odmówi, będę załatwiona, ale poczuję ulgę. Na pewno w tej swojej wiosce ma już upatrzoną jakąś dziewczuchę.

Było jasne, że takiej ewentualności w ogóle nie brał pod uwagę albo za bardzo się pospieszyłam. Patrzyłam na jego szopę na głowie, od dawna niestrzyżoną, i wydało mi się, że widzę jakieś nieziemskie zjawisko z kłakami sterczącymi na wszystkie strony.

Tak.

Przełknęłam ślinę.

Nastąpiła cisza, w której próbowałam otrząsnąć się z osłupienia, bo Jozo odpowiedział spokojnie i bez wahania.

Cisza się przedłużała.

Musi pan zapomnieć, kim jestem – zaczęłam mówić. – Teraz nazywam się Hana Novakova... Doktor Chladek nie powiedział panu tego?

Powiedział.

Znów tak samo spokojnie, ale jego wyraz twarzy przeczył tonowi głosu. Wyglądał jak człowiek, który na jawie i w pełni świadomości nie może uwolnić się od snu.

Więcej nie było o czym mówić, więc milczeliśmy.

Za to hałas, z jakim koła wagonu uderzały o szyny na podkładach, był nie do wytrzymania. Miałam wrażenie, że myśli Jozy uciekają ode mnie tak samo jak widoki za oknem. Po chwili się odezwał. Praktyczne podejście do życia. Aż się przestraszyłam.

– Ja mieszkam w komórce przy kuźni. Tam pani nie mogę zabrać. Przez jakiś czas będzie pani musiała zostać w Szadovej Hucie u Irczy Mareniny.

Co takiego Szadova Huta, kim jest Ircza Marenina, chodziło mi po głowie, zanim zdążył wziąć oddech. Uspokajało mnie jego widoczne zdenerwowanie. Pomiędzy stanem nerwów nas dwojga zachodził stosunek odwrotnie proporcjonalny. Jego jabłko Adama poruszyło się w górę i w dół, przeszkoda została pokonana.

– W tym czasie znajdę jakiś pusty dom.

– To u was są puste domy?

– Tak, po tych, co umarli. Zobaczę, co jest z domem starego Manka.

Palce miałam lodowate. Kostnienie postępowało. Na pewno czubek nosa mi zbielał. Co się ze mną dzieje? Odetchnęłam głęboko, trochę rozruszałam zacięty mechanizm.

– Będziemy musieli mówić sobie po imieniu, Jozo. Najlepiej zacząć od zaraz.

Podalam mu rękę, nie powinnam była tego robić. Ścisnął ją i przytrzymał w swojej.

– Pani jest całkiem zziębnięta.

Zajął się moją dłonią i ogrzewał ją w swojej łapie.

– Jesteś całkiem zziębnięta, Hano – poprawiłam go. Zaciskałam usta, żeby nie szczekać zębami.

– Jesteś całkiem zziębnięta, Hano – powtórzył posłusznie. – Może zamknąć okno?

– Nie, nie jest mi zimno, to nerwy.

W duchu dodałam: kretynie!

Gdyby był tu Richard ze swoim aksamitnym głosem, mądrymi oczyma, szczupłymi rękoma, gdyby był tu Richard, wybaczyłabym mu natychmiast, wszystko i jeszcze więcej.

Łapsko Jozy przytrzymało moją dłoń i nie miałam szansy się uwolnić. Nowa sytuacja życiowa.

Nagle puścił moją rękę i odwrócił wzrok. Mój analityczny mózg natychmiast zareagował: co chce przede mną ukryć?

Wstrząsy, które rzucały pociągiem, nagle wydały mi się niebezpieczne. Lada chwila wykoleimy się i zwalimy z nasypu prosto w otwartą paszczę jakiejś przepaści. Będziemy się staczać po wyboistym zboczcu, aż zatrzymamy się gdzieś w dole, kompletnie zmasakrowani.

W najlepszym wypadku.

Ta wizja, nie wiedzieć dlaczego, napawała mnie spokojem.

– Za pół godziny będziemy w miasteczku – poinformował mnie Joza.

Muszę się skupić.

– W jakim miasteczku?

– W Szadovej Hucie.

– Aha.

Wstałam i wyszłam do toalety. Śmierdziała straszliwie, ale ten smród był mi znany, bliski, wręcz miły. Smród moczu, kału i wymiotów. Stałam chwilę przy okienku jakby porośłym pleśnią. Migwały za nim niewyraźne kształty. Szarpnęłam w dół oblepioną brudem ramę i upaprałam sobie ręce lepka mazią. No horyzoncie widniał komin fabryki – mój męczeński pał. Niepotrzebnie gapiłam się tak długo. Kiedy w końcu wróciłam do przedziału, zauważyłam, że z twarzy Jozy spłynęło napięcie. Podałam mu pieniądze, które dostałam od Slavka.

– Niech je pani sobie zostawi. – Zakłopotanie zdławiło mu gło, Przydadzą się pani w Szadovej Hucie.

– Nie jesteś w stanie mówić mi po imieniu?

– Jestem. – Wciągnął powietrze. – Będiesz musiała zostać tam może z miesiąc, zanim się wszystko urządzi.

Najwidoczniej oprócz chałupy starego Manka miał na myśli nasz ślub. Rechotałam jak szalona, ale tylko w duchu, dla siebie.

Potem aż do ostatniej stacji zajmowałam się sobą. Nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem, dopóki nie dotarliśmy do Irczy Mareniny.

## 5.

Szadova Huta jest miasteczkiem, o którym się mówi: nijakie. Za to Ircza Marenina zrobiła na mnie wrażenie. Z manierami rodem z jakiejś szmiry panoszyła się w swojej speluncie – hoteliku, kawiarni, restauracji i w ogóle najbardziej ekskluzywnym lokalu w mieście – z lubością, jak locha w błocie.

Do tej pory nigdy nie byłam przez nikogo traktowana z protekcyjną wyższością. Ircza dostarczyła mi takich wrażeń z nawiązką. Górowała nade mną jak obelisk.

Patrzyłam na jej ciało pod opiętą sukienką. Było wiotkie, z wałeczkami zbędnego tłuszczu. Twarz miała naznaczoną brakiem snu, szyja zdradzała przedwczesne starzenie się. Cena „dobrobytu”.

Wpatrywała się we mnie pewnym siebie spojrzeniem przymrużonych, widocznie krótkowzrocznych oczu.

Niemal każdy z moich pacjentów, również tych potencjalnych, wzbudzał we mnie zasłużone lub niezasłużone współczucie. Ze wszystkimi ludźmi, z którymi się zetknęłam, łączyły mnie cienkie włókienka jakiejś więzi.

Najpierw nie mogłam oderwać oczu od szyi Irczy, na której układały się już jeden nad drugim sznureczki zmarszczek, potem moją uwagę przyciągnęły uróżowane papierkiem od cykorii policzki jej panienek, a jeszcze później oczy głównego kelnera – rozmyte, jakby zanurzone w jakiejś cieczy.

Tylko mąż Irczy nie wzbudzał we mnie niepokoju – nierozgarnięty, lecz zadowolony z siebie.

Ircza wyczuła we mnie coś przeciwnego jej naturze. Prośbę Jozy przyjęła z nieszczerym ociąganiem. Wzruszała ramionami i udawała, że się zastanawia.

Może i znalazłby się na górze odpowiedni pokoik...

Kładąc zjadliwie nacisk na słowo „odpowiedni”, próbowała mnie poniżyć. Skoro z jakiegoś powodu nie mogła odmówić, to przynajmniej okazała niechęć, robiąc zbyteczne ceregiele.

Joza wniósł na górę mój skromny bagaż i pożegnał się.

W pokoiku z pękniętą szybą w oknie stało żelazne łóżko ze słomianym siennikiem pogryzionym przez myszy. Bez pościeli, tylko wythuszczona poduszka i poplamiony koc. Na stołku obtłuczona gliniana misa – umywalka. Pokryta kurzem półka, wieszak – i to wszystko. W nocy czekało mnie kolejne przeżycie: harce myszy, które w odróżnieniu ode mnie były tutaj zadomowione i biegały nie tylko po łóżku, ale i po mojej twarzy.

Rano Ircza wysłała mnie do pomocy za barem. Przyjęłam to z ochotą. Zażądałam za to jeszcze jednego koca i czystej pościeli. Nie mogła się nadziwić moim wymaganiom. Zrozumiałam to dopiero wtedy, kiedy poznałam komfort, w jakim mieszkały pozostałe kelnerki.

Pracę w lokalu przyjęłam z prawdziwą radością. Wszystko było lepsze niż ta moja nora z barłogiem.

Nie przeszkadzało mi noszenie tacy ani zatęchła sala. Byłam przyzwyczajona do gorszych rzeczy.

Żeby wkraść się w zaufanie Irczy, szepnęłam jej, że kiedyś pracowałam jako barmanka w Grandhotelu. Przełknęła to z młaśnięciem zadowolenia, w ten sposób moja fantazja wyniosła mnie niemal na wyżyny jej poziomu. Myliłam się, sądząc, że właśnie tej okoliczności zawdzięczam swoją w pewnym sensie wyjątkową pozycję. Szef kelnerów Eda, o rozbieganych oczach i znoszonej twarzy (zwróciłam na niego uwagę zaraz na początku), który załatwiał dziewczynom klientów, w ogóle mnie nie zauważał, chociaż goście zabiegali o to, żeby się do mnie zbliżyć. Pewnego razu, kiedy jakiś pijany policjant spróbował się do mnie przytulić, do akcji wkroczyła sama Ircza.

– Panie poruczniku, ta dziewczyna wychodzi za mąż w Żelarach.

Po tej informacji facet niemal wytrzeźwiał. Nie miałam pojęcia, o co chodzi. Stara posługaczka Maja, która miała czterdzieści lat, a wyglądała na siedemdziesiąt, poszerzyła moje horyzonty. Wyjaśniła mi, że tknąć żelarską narzeczoną oznacza prędzej czy później skończyć z obitym pyskiem.

Stwierdziłam, że jestem otoczona specjalną ochroną, a mój przyszły dom zaczął mi się jawić w dziwnym świetle.

Wychodzę za mąż na Sycylii.

Co więcej, Joza cieszył się tu sławą Żelaznej Łapy. O jego sile krążyły legendy.

Nic dziwnego, że niektórzy goście zaczęli mi się kłaniać pierwsi.

Koleżanki dawały mi do zrozumienia, co prawda aluzyjnie, lecz jednoznacznie, że jest jeszcze coś, o czym nie wiem. W tym też niebawem oświeciła mnie Maja.

Mam poślubić żelarskiego głupka.

Po chwili przerażenia ogarnęła mnie apatia. Nie mam wyboru.

Nad tym beznamytnym stwierdzeniem nie dało się jednak przejść do porządku dziennego. Wszyscy widzieli, że jestem naznaczona znamieniem swojego pana.

Przejawy źle skrywanej złośliwości paradoksalnie dostarczały mi gorzkiego pokrzepienia. Joza sam potwierdził swoją reputację. Przyniósł mi prezent: małąkę na gumce. Jarmarczną atrakcją żelarskich dzieci.

Spróbowałam dogrzebać się jakichś szczegółów o wypadku, w którym doznał urazu. Ale dowiedziałam się tylko tego, co już wiedziałam. Przywalił go stos drewna w tartaku. Nikt sobie niczego więcej nie przypominał. Co prawda niedługo potem zwolniono któregoś z robotników, ale pijaków często się zwalnia.

Po kilku dniach zauważyłam, że Ircza stara się nawiązać ze mną przyjazne stosunki. Zaprosiła mnie do swojego mieszkania, pewnie chciała się pochwalić, jak jest urządzone, i tak mimochodem przedstawiła mi swojego zramolałego męża.

Jej monolog nad filiżanką doskonałej kawy ze śmietanką był jednym łańcuchem westchnień. Podała też przekąski – szynkę, normalnie nie do zdobycia, i pomarańcze.

– Wiesz, Hanko – powiedziała – ty się obracałaś w lepszym towarzystwie, to zrozumiesz, jak ja się tu czuję. Czasami mało mnie krew nie zaleje, że nie mam do kogo otworzyć ust.

Do dwóch kryształowych kieliszków naląła likieru, ja umoczyłam usta, ona wypila do dna i naląła sobie jeszcze raz. Po upływie pół godziny była pijana w sztok.

– Widziałaś tego mojego, Hanko, co ci będę mówić – zaczęła od westchnienia, skończyła czknięciem. – Jestem jeszcze całkiem do rzeczy, wokół pełno mężczyzn, obłapują się tu z tymi kurwami, a ja czasami myślę, że zwariuję, bo ja, Hanko, ja nie mogę obniżyć lotów. Rozumiesz?! Chryste Panie, co ja mam z życia?!

Znowu sobie golnęła.

– Cała ta tutejsza gówniana śmietanka wyciera sobie mną gębę, nawet ta bezzębna stara Buchla, krawiectwo damsko-męskie, jakbym ja co – nie była człowiekiem? No powiedz, Hanko, jestem człowiekiem czy nie?

Zapewniłam ją, że jest człowiekiem, a ona z ulgą wysmarkała się w chusteczkę.

– Bo ja, Hanko, jestem z Želar. Tam się urodziłam i tam trzeba mi było wyjść za męż. Zadurzyłam się w tym swoim dzianym niezgule, który co prawda nigdy mnie nie tknął palcem, Irenko to, Irenko tamto... A ja mam to gdzieś, baba wytrzyma parę kuksańców, ale żeby chłop był tego wart.

Uderzyła głową o blat stołu i zaczęła chrapać. Wyszłam od niej z głową pełną strasznych myśli. Bo ja, w odróżnieniu od Irczy, nie jestem z Želar.

## 6.

Joza odwiedzał mnie w poniedziałki przed południem, kiedy panienki i Ircza odsypiały zarwane noce, a po pustych pomieszczeniach snuł się jak duch zramolały starzec.

Spacery po miasteczku działały mi na nerwy. Joza szybko to spostrzegł i zaproponował, żebyśmy przeszli się wzdłuż rzeki. Ledwie weszliśmy w las i zaczęliśmy wspinać się coraz wyżej wąskimi ścieżkami, przypomniały mi się brzegi cichej Svitavy. Poczułam ucisk w gardle. Zapragnęłam tak iść i iść – i uciec od wszystkiego.

W obrazach nasyconej zieleni, w plusku niewidocznych potoków wracały do mnie drogie sercu przeżycia.

Szliśmy z Jozą obok siebie, każde w swoim własnym świecie. I dla mnie, i dla niego te cotygodniowe spotkania były uciążliwym obowiązkiem.

Czasem któreś z nas rzuciło jakieś zdanie, do którego nie dało się nawiązać, więc prawie całe moje dwie wolne godziny spędzaliśmy w milczeniu. W ogóle nie przyszło mi do głowy, że dla Jozy poniedziałek nie jest wolnym dniem i że ten czas musi potem odpracować.

Coraz bardziej kusila mnie myśl, żeby wojnę przeczekać u Irczy, Szadova Huta wydawała mi się wystarczająco bezpiecznym zadupiem. Ale nie odważyłam się o to zawalczyć. Nie jestem ciotką Jirziną.

Mknęłam z górki jak rozpędzony wóz.

Do chałupy starego Manka Joza przyprowadził mnie na dzień przed weselem. Ircza pożegnała mnie krzyżem. Z przejęcia (czy od alkoholu) zamgliły się jej oczy.

W czasie drogi wzdłuż rzeki, a więc dobrą godzinę, Joza przygotowywał mnie na niedostatki naszej siedziby, w której od jutra będę już panią.

– Jeszcze tam nie ma za dużo mebli – zaczął ostrożnie (jakby mi na tym zależało) – ale szybko się tym z Żenia zajmujemy.

Z Żenia?

– Materiał już mam zwieziony do szopy. Nie gniewaj się, że cię tak długo trzymałem u Irczy, ale musieliśmy wstawić szyby w okna, naprawić dach i w ogóle.

Do tej pory o naszym domostwie nie wspomniał ani słowem. Zaczęłam podejrzewać, że już niedługo pobyt w burdelu u Irczy wspominać będę z rozrzewnieniem.

– Poza tym wszystko jest gotowe – ciągnął. – To dosyć duża chałupa. Kuchnia, izba, sień i komórka. (No, dzień dobry!) W ogrodzie zostawiliśmy jabłonie, śliwę i wiśnię, tylko nieco się je poprzycinało. Jest tam też trochę leszczyn, maliny i ostrężyny. Zostawiliśmy je wszystkie.

– Mówisz: zostawiliśmy. Ty i Żenia?

– Skąd, Żenia! – roześmiał się (nie wiadomo z czego). – Doprowadzić chałupę do ładu pomagali mi Pavel, Prokop i Honza. Poznasz ich wszystkich. I jeszcze chłopaki Pavla. Żenia mi tylko powie, jak mam zrobić półki, szafę i wszystko, co nam będzie potrzebne.



A dlaczego nie przyjdzie ci do głowy, że to wszystko, do cholery, mogę ci równie dobrze powiedzieć ja?!

– Żenia się na tym zna – podsumował, jakby w odpowiedzi na moje nieme odszczeknięcie.

No proszę – już pierwszego dnia do chałupy wpakowała mi się jakaś obca baba!

A teraz coś się dzieje na zboczu ponad nami. Widać tam jakieś samotne domostwo. (Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że w Żelarach wszystkie domostwa są samotne). Mężczyzna z kijem w ręce goni kobietę. Kobieta ucieka wokół domu, dyszy (że słyhać aż przy nas), spod jej pięt wzbijają się obłoki pyłu (dawno nie padało).

Scena jakby z jakiejś starej groteski.

Sama nie wiem, jak się znalazłam na górze, było to parę kroków.

– Niech ją pan zostawi! Słyszysz pan? Niech ją pan zostawi!

– Co ci do tego, suko?

Splunął mi pod nogi.

Jednocześnie zderzył się z Jozą jak z drzewem. Jeden cios pięścią w ramię i opadł na kolana. Spojrzał na Jozę i podniósł ręce w pojednawczym geście.

– Dobrze, Jozo, dobrze.

Joza jednym ruchem podniósł go z ziemi.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Potem mój przyszły mąż odwrócił się i ruszyliśmy.

Drżały mi nogi.

Kiedy się obejrzałam, mężczyzna rozcierał sobie bark.

– Zmiażdżyłeś mu ramię – zauważyłam.

– Jestem bardzo silny.

W szpitalu co prawda zauważyłam jego mięśnie, zahartowane ciężką pracą, ale nie było w tym nic wyjątkowego. Chłop, który właśnie uległ Jozie, wydał mi się wyższy, bardziej rośli, co więcej – pewny siebie, niebezpieczny i skory do bitki. Joza był przy nim jak owca.

Jak urzeczona przypatrywałam się jego kołyszącym się rękoma.

## 7.

Chałupa nieboszczyka Manka stała na płaskim zboczu, ale trzeba było do niej podejść z wąwozu trochę pod górkę. Wyglądała malowniczo i pachniała świeżym drewnem. Joza pokazał mi trzy inne podobne domostwa, jedyne siedliska, które w okolicy w ogóle można było dostrzec.

– Nad nami mieszka Łucka, obok Żenia, na lewo Jurigowie.

Trzy nędzne chałupy na olbrzymiej przestrzeni. Mój wzrok przyciągnęły cztery krowy pasące się na porośniętym trawą spłachetku ziemi, porytym skalnymi zębami. Miniaturowe poletka, samotne drzewa. Widać było, że nie przynależą do lasu, który ciągnął się w tle aż po niebo. Po żadnej wsi nie było tu ani śladu.

Stałam na progu swego przyszłego domu i rozglądałam się niepewnie.

– Gdzie jest ogród?

Joza zatoczył ręką wokół siebie. Tajemnica samotnych drzew: jabłonie, śliwa, wiśnia. Rząd leszczyn, zaskakująco równy, przed nim kawał przekopanej, surowej ziemi.

W Żelarach nie wiedzą, co to płot.

Chociaż duchowo przygotowałam się na warunki życia w górskiej wiosce, nie spodziewałam się takiej nędzy. Klepisko, gołe ściany, jedna półka, wieszak, ława, stół. W izbie szerokie łóżko z dwoma siennikami, a pomiędzy okienkami coś jakby skrzynia.

Joza nie zauważył mojego przerażenia, bo zajmował się jedy-~~IK~~ rzeczą godną uwagi w naszej chałupinie – piecem, który wyglądał jak beżowy graniastosłup i przechodził z kuchni do pokoju. Na piecu stały dwa garnki. Jeden ogromny, pewnie na ciepłą wodę, drugi mały. Oba były gliniane.

– Usiądź sobie na razie.

Sam przycupnął na trzynogim zydlu przy piecu, zaczął grzebać w palenisku. Nie odwrócił się.

Usiadłam na ławie. Przewrzenie przechodziło w histerię.

Jutro tutaj, do tej rezydencji, wprowadzę się jako żona.

Mój przyszły pan nalał wody z cebra, który stał w sieni, do ogromnego garnka i z pustym naczyniem poszedł Bóg wie dokąd po nową.

Zamknęłam oczy i próbowałam opanować dreszcze. Kiedy minęły, opuściły mnie wszelkie odczucia. Ogarnęło mnie zubożenie. Wszystko jest w porządku, wszystko jest tak, jak ma być, nie myśl o niczym.

Zrobiło się szaro. Joza zapalił lampę naftową. Sam krzątał się nieustannie, a moje milczenie, moje trwanie w bezruchu kładł na karb zmęczenia drogą.

Bezz bieżącej wody, bez prądu, i jeszcze dziesięć innych „bez”.

Miejsce mojego potępienia.

Być może Radoslawowi Chladkowi właśnie przetracili szczękę, a teraz masakrują mu nerki.

Mimo woli westchnęłam. Joza natychmiast się odwrócił.

– Co się stało?

– Nic, Jozo. Coś mi się przypomniało. Już przeszło.

Widział, że nie przeszło, że zeszywniałam na kość.

– Usiądź bliżej pieca.

Podniósł mnie i posadził na zydlu jak drewnianą kukłę, oparł plecami o stół, który przyciągnął bliżej. Praca z drewnem to przecież jego zawód.

– Mam zszarpane nerwy, Jozo. Żyjemy w nienażartych czasach. (Nie wiem, dlaczego wybrałam właśnie to słowo. W końcu każde czasy są nienażarte, po co to wyolbrzymiać).

Nie wiedział, co powiedzieć ani co robić. Usiadł przy mnie na ziemi i dokładał do pieca.

Jedyny bliski człowiek. Jedynie stworzenie, które mi zostało.

Mojej ręki, opuszczonej na ziemię, dotknął zimny, wilgotny nos. Zapomniałam o psie, który zaczął się koło nas plątać, kiedy dotarliśmy na

miejsce. To jest Azor, przedstawił go Joza, a ja uznałam, że przybiegł z którejś z okolicznych chałup. Teraz wyglądało na to, że jest nasz. Obślinił mnie i rozłożył się na podłodze, Joza musiał go obejść, kiedy wstał po drewno. Wcale mu to nie przeszkadzało.

Woda w mniejszym glinianym garnku wrzała. Nie wiedziałam, co dalej. Ale Joza wrócił, zanim wygotowała się całkiem, i wrzucił do niej garść ziół z woreczka na półce.

– Za chwilę będzie herbata.

Zapach ziół, rozgrzane kafle, lampa naftowa. Na ziemi parchaty pies. Izba jak z babcinych opowieści.

– Opowiedz coś, Jozo.

– Nie znam nic innego niż to, co już słyszałaś w szpitalu.

Do szpitala nie zamierzałam wracać.

– Coś, co ci opowiadała mama.

Patrzył na mnie zaskoczony.

– Najczęściej bajki.

– No to bajkę.

Miałam poczucie, że wszystko jest gdzieś daleko (jak wtedy, kiedy mi coś opowiadał), że dotyka chwili obecnej tylko na tej magicznej granicy, gdzie wszystkie światy łączą się w jeden.

Dorosły mężczyzna opowiada dorosłej kobiecie bajkę, w noc przed ich ślubem, przy kaflowym piecu, pod lampą naftową, wśród zapachu naparu z ziół.

Historia, której nigdy przedtem nie słyszałam, była prosta, Gęsiarka schroniła się w lesie przed burzą. Nagle na porębie coś rozbłysło i wyrósł przed nią piękny zamek, otoczony rabatami kwiatów. Zaciekawiona podeszła do marmurowych schodów. Drzwi były otwarte, zawahała się, ale nie zdołała się uprzeć pokusie. Weszła do środka. Słyszała muzykę, głosy i śmiechy. Szła przez komnaty. W jednej z nich znalazła skrzynię pełną wspaniałych szat i klejnotów. Przebrała się w piękną mknie i stanęła przed zwierciadłem. Upięła włosy, wsunęła w nie grzebienie, zawiązała wstążkę. Muzyka zaprowadziła ją do sali, w której bawili się szlachetni panowie i panie. Niczym się od nich nie różniła. Usiadła przy stole zastawionym wybornym

jadłem i ucztowała wraz z innymi. Wtem stanął przed nią wspaniały rycerz i poprosił ją do tańca. Podała mu rękę i ruszyła z nim w tany jak zaczarowana.

Nagle muzyka umilkła.

Zebrani zaczęli się śmiać.

Gęsiarka skamieniała, uwięziona w kręgu niespodziewanej wrogości.

Wszyscy patrzyli na jej stopy. Były szorstkie, popękane i... bose. Nie założyła butów, bo nigdy przedtem ich nie nosiła.

Księżniczka Bosonóżka!

Zanim wygnano ją z pałacu, pozwolono jej zatrzymać na pamiątkę jedną rzecz. Wybrała zielone piórko. Unosiło się nad podłogą, lekkie jak oddech. Śmieć przeoczony przez służącą.

Tymczasem burza ustała, a kiedy dziewczyna wyszła z lasu, ujrzała na zboczu góry swoje stadko gęsi.

W ręku nadal trzymała zielone piórko.

Po cichym głosie Jozy poznałam, jak jest skupiony na tym, co opowiada. Na dziwnym podobieństwie.

Odkryła się przede mną przerażająca prawda. Dziewczyny od Irczy wiedziały, co mówią. Jutro wyjdę za mąż za głupca.

Pokażcie mi zielone piórko! Pokażcie mi jedno jedyne zielone piórko, które mogłoby mnie oczarować!

Tę krótką historię Joza opowiadał bardzo długo. Poszczególne obrazy nawlekał jeden za drugim jak perły naszyjnika.

Możliwe, że z jednej opowieści wysnuła się druga, ale tego już nie pamiętam. Zasnęłam.

Obudziłam się w szerokim łóżku, bez butów jak ta gęsiarka, ale ubrana, przykryta kocem.

Joza hałasował naczyniami w kuchni, skąd dochodził już zapach herbaty. Przeciągnęłam się, wygładziłam sukienkę.

Pod oknem na ławie siedziało to Jozowe чудо – Żenia. Niezgrabna dziewczyna, która cały czas się uśmiechała, a przy każdym uśmiechu robiły się jej w policzkach dołeczki. Chociaż byłam do niej z góry uprzedzona, spodobało mi się jej ubranie skrzyżowanie stroju ludowego z kreacją prosto z rewii mody. Miała sukienkę ze zgrzebnego materiału z szerokim wyszywanym pasem.

Podaliśmy sobie ręce.

Podanie ręki dużo mówi. Uścisk Żeni był niekobieco mocny. Palrzyła na mnie nieśmiało, ale nie zdołało mnie to zmylić. Oglądała mnie jak jakiś eksponat.

– Żenia cię ubierze.

Oburzyłam się. Niby dlaczego Żenia miałaby mnie ubierać? Jasną, skromną sukienkę, w której przyjechałam i w której w tym zapadłym kącie spokojnie mogę iść do ślubu, założę sobie sama.

Żenia gdzieś pobiegła.

Joyza nalał mi do glinianej misy ciepłej wody do mycia. Wracały wczorajsze przeżycia. Poczucie dumy, z jakim pokazywał mi drewnianą wygodkę, do której wchodziło się z szopy. Wejście do niej obłożone było pociętym drewnem. W rogu stała ogromna skrzynia pełna trocin.

Kafle grzały, na stole stały kubki z herbatą, pośrodku plecionka z chlebem i dwoma rogalikami. Rogaliki były dla mnie.

Ledwie zdążyliśmy zjeść śniadanie, Żenia już była z powrotem. Niosła wiklinowy kosz. Joza odetchnął z ulgą i zniknął. Zawartość kosza znalazła się na ławie. Usłyszałam, że są to kostiumy z kółka teatralnego.

– Możesz sobie wziąć perukę i tę sukienkę albo welon i to.

Wyjaśnić Żeni, że nie wybieram się na bal przebierańców, byłoby chyba stratą czasu.

– Dziękuję, mam całkiem odpowiedni strój.

– W tym się nie możesz pokazać.

– Dlaczego?

– Głównie przez te włosy. W domu możesz nosić to – podała mi dwie chustki, jedną niebieską z wyszywanym brzegiem, drugą beżową, też haftowaną. – Aż ci odrosną włosy.

Na razie rosłam ja sama.

Dostałam się w tryby jakichś idiotycznych tradycji dzikiego plemienia, dla którego prawo do indywidualności to pojęcie bez treści. Wybrałam welon, bo wydał mi się bardziej dziwaczny. Wyglądałam w nim jak wystraszona nimfa.

Podejrzywałam, że to dopiero początek błazenady, i nie myliłam się. Rozum doradzał mi, żeby uwierzyć Żeni na słowo.

Dzięki temu gładko przeszłam przez miejscowe obrzędy oraz przecierpiałam uroczystość ślubną, pod wieczór zaś koszmarne przyjęcie z pijanymi prostakami w żelarskiej gospodzie. Rozdwoiłam się i stałam się biernym obiektem zainteresowania weselników, a zarazem zdziwionym widzem.

Już kiedyś zdarzyło mi się być w podobnej sytuacji, dokładniej mówiąc jeden raz, kiedy zmarła moja babcia, a rodzina urządziła stypę.

Docierały do mnie jakieś wibracje, które rozrywały mi tkanki, chwilami słyszałam je jako wysoki ton. W miarę tego, jak częstotliwość drgań się nasilała, dźwięk przechodził w błyskawiczny świst skalpela. Potem miara się przebrała, a ja przestałam reagować na cokolwiek. Wiedziałam, że skalpel przemknął swoim torem, wiedziałam, że drganie trwa nadal, ale już gdzieś poza moim ciałem.

Rozcięcie nie pozostawiło śladu.

Nieobecna duchem, spokojnie się rozglądałam i obserwowałam przedziwny rytuał. Jak zawsze pociągały mnie twarze. Niektórzy górale mieli urodziwe, surowe rysy, inni mieli wygląd prostacki i nieociosany

Ich zainteresowanie moją osobą było całkowicie powierzchowne. Przyjęli mnie jako – nie tak znowu wyjątkowy – dziw natury, obiekt chwilowego zainteresowania.

Weselna gorzałka miała dla nich o wiele większy urok.

Na moje wesele zeszła się chyba cała wieś. Kościół i gospoda były zapchane po brzegi. Wychodziłam za mąż w miejscu, gdzie przed wiekami stał się cud – objawiła się tu Maria Magdalena.

Coś z kobiety pokutnicy miał też żelarski ksiądz.

W gospodzie zauważyłam dwóch wyrostków. Żaden z nich nie włączył się w ogólnie panującą wrzawę. Obaj siedzieli na boku i wpijali we mnie wzrok. O dziwo, nie wydało mi się to ani natrętne, ani nieprzyjemne.

Zapytałam Jozę o ich imiona. Dwaj odmieńcy, jak się o nich wyraził, nazywali się Vratislav Lipka i Vojta Juriga. Czym odbiegali od normy, tego mi nie zdradził.

Lipka był sierotą, dzieckiem całej wsi, Vojta był synem przystojnego górala Pavla. Nie odziedziczył po ojcu wyjątkowej urody, za to z jego twarzy wyczytałam siłę, której lepiej nie wchodzić w drogę.

Okolo północy chwiejnym krokiem wyszłam na ostry, ale orzeźwiający wiatr. Joza musiał stałe do kogoś przypijać, lecz nie wyglądał na pijanego. Okolica, nocą odmieniona nie do poznania, sprawiała nierzeczywiste wrażenie.

W chałupie nieboszczyka Manka do tej pory grzał piec i herbata była jeszcze letnia.

Siedzieliśmy obok siebie na ławie, lampa naftowa zakreślała na blacie stołu czarodziejski krąg, napięcie między nami wzrastało. Moglibyśmy tak przesiedzieć do rana. Postanowiłam działać.

Chwyciłam Jozę mocno za rękę i poprowadziłam do izby. W jasnej ciemności górskiej nocy przebrałam się w nocną koszulę, a potem ściągnęłam ją przez głowę. Sięgnęłam do źródła swej największej siły: zdolności okiełznania buntu. Uratowałeś mi życie, dobrze, nie odmówię ci nagrody. Przeniosłam wzrok na zwieszony wzdłuż ciała łąpska Jozy i nałożyłam sobie koronę męczennicy. Położyłam mu dłonie na ramionach. Jego uporczywe spojrzenie zniechęcało mnie, a do pewnego stopnia również przerażało. Odetchnęłam głęboko. Na ścianie zegar z kukułką, prezent ślubny od Jurigi, tykaniem odmierzał zdziczały czas.

Spojrzenie Jozy było nie do zniesienia. Po raz pierwszy w życiu i, jak się okazało, po raz ostatni, odczuwałam niemożliwy do opanowania wstręt. Narastał we mnie jak rak.

W końcu kamienna twarz nade mną drgnęła.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Przeszedł mnie dreszcz. – Byłem ci niewierny.



Ze wszystkich rzeczy, które mógł powiedzieć lub zrobić, było to coś najbardziej okropnego. Nie wyszłam za mąż za głupca – wyszłam za szaleńca. Przebiegłam pamięcią dzisiejszy dzień.

– Dzisiaj przecież... – zająknęłam się.

– Nie dzisiaj. Dawno.

Podczas gdy próbowałam się upewnić, czy nie mam halucynacji, usłyszałam historię miejscowej dziwki Biety Latalovej, córki szynkarza. Widywała Jozę codziennie, lecz nie zwracała na niego uwagi, dopóki nie zachciało jej się włączyć go do swojej kolekcji. A że nie odpowiadał na jej zaczepki, pewnej nocy wlaźła mu przez okno prosto do łóżka.

Przez chwilę musiałam się skupić.

– To jest już za nami, Jozo – odrzuciłam przygodę Jozy na bok i zaczęłam myśleć o Richardzie.

Wymusiłam na twarzy głupawy uśmiech i pocałowałam go. Wzdrygnął się.

– Chcesz, żebym cię też pocałował?

To nie może być prawda!

Chyba skinęłam głową, bo przytknął mi do czoła suche, zaciśnięte wargi. Ośmielony tym, że go nie odepchnęłam, całował mnie w sposób niewiarygodny. Przyciskał usta miękko do mojej twarzy. Wkładał w te swoje dotknięcia tyle uczucia, jakby miał do spełnienia jakąś misję.

Trwało to długo, ale nie tyle, żebym oprzytomniała.

Wpijałam wzrok w poruszające się cienie.

Jego łapy nie próżnowały. Jedna macka wpełzła mi na plecy.

Poczułam radosne, niszczące odrętwienie. Co się w nim może obudzić? Wiedziona irracjonalnym popędem, wyciągnęłam ramiona i zawisłam mu na szyi. Na chwilę uległam panice, kiedy objęła mnie druga macka.

Był zupełnie inny niż Richard. Przede wszystkim – niesamowicie nieśmiały. Wyrafinowana sztuka miłości zmysłowej była mu obca.

Zanim zdążyłam się z tym wszystkim oswoić i ułożyć to sobie w głowie, wskoczył pomiędzy nas Azor. Podświadomie oczekiwana pointa.

- Zawsze śpi mi w nogach – wydukał Joza – gdyby ci to przeszkadzało...
- Nie przeszkadza! – krzyknęłam.

Przez wpółotwarte okno zawiewał mi pod kołdrę zimny wiatr. Przytulilam się do swojego męża, bo grzał. Odwrócił się na bok, a jego wolne ramię opadło na mnie jak skrzydło anioła.

Żelarska noc roztapiała się w perłowej szarości.

Następnego dnia scena się powtórzyła, potem znowu i znowu, aż któregoś wieczora nie ściągnęłam koszuli i czekałam, co się będzie działo.

Nie stało się zupełnie nic.

Spaliśmy w objęciach jak dwoje dzieci.

Kiedy w ten sposób odkryłam tajemnicę swojej nocnej koszuli, ogarnął mnie wstyd. Joza oddychał spokojnie pogrążony w głębokim śnie człowieka zmęczonego całodzienną harówką, a ja gapiałam się w jasny mrok i przedzierałam się przez swoje zmieszanie. Lecz nie dotarłam do takiej myśli, która by mnie uspokoiła.

## 8.

Nigdy bym nie uwierzyła, że krajobraz może napawać lękiem. Teraz tego doświadczałam. Posiniałe skaliska przecinały las, w którym wiły się kręte ścieżki, niesamowicie poplątane i zwodnicze. Krzyżowały się w taki sposób, że można było krążyć po nich w nieskończoność. W dole huczała rzeka, tak rwąca, że tylko upalnym latem, kiedy woda opadała, dało się przejść na drugi brzeg po wystających kamieniach. Ze wszystkich stron świata dobiegał świst wiatru. Na śmiesznych połaciach równej ziemi, w niektórych miejscach piaszczystych i suchych, w innych porośniętych trawą albo mchem i nasiąkniętych wodą wypływającą z mnóstwa ukrytych źródeł – tylko na tych splachetkach otaczała mnie cisza, która po chwili zaczynała stawać się upiorna.

Drewniane, niskie, samotne chałupy ginęły w krajobrazie.

Coś, co można było nazwać wsią, skupiało się w pobliżu kościoła i szkoły. Stała tu też gospoda (z jatką i sklepem), trafika z najrozmaitszymi towarami, a naprzeciwko karczmy – kuźnia. Biegła tędy droga, którą przy odrobinie dobrej woli można było nazwać tym mianem. Z jednej strony prowadziła do tartaku, z drugiej do Szadovej Huty. Była kręta, ponieważ musiała się dostosować do biegu rzeki.

Szadova Huta, w pobliżu której w końcu wylądowałam na moim wygnaniu – ruchliwe miasteczko o uszmkowanym obliczu – co prawda nie przypominało mi domu, ale przynajmniej nie napawało mnie strachem. Znajome ulice, znajome wystawy sklepowe, znane grymasy niepotrzebnie spieszących się przechodniów.

Miasteczko było skulone w kotlinie o wiele mniejszej niż cała ta mizerna wieś, która mnie połknęła. Kiedy na parę kroków od naszej chałupy pograżyłam się w półmroku lasu, nie było już niczego. Jakby Żelary w ogóle nie istniały.

Lęk gnał mnie na wolną przestrzeń przed karczmą. Tam pojawiali się ludzie, tam turkotały wozy, tam krzyczały dzieci. Ludzie mnie pozdrawiali, ale robili to tak, jak pies obwąchuje podejrzanego osobnika.

Czułam, że wejść do tej kipiącej życiem knajpy, wejść i zamówić choćby talerz zupy, jest nie do pomyślenia.

Tutaj od razu pierwszego dnia uświadomiono mi, że jestem kobietą.

Czułam się osierocona, wydana na łaskę i niełaskę tej wsi, której wcale nie było. Wszystko, co dawniej wydawało mi się pewne, rozpadło się w łoskocie rzeki, rozplynęło się w powietrzu, przesyconym nieznanymi zapachami, utonęło w huraganie kolorów, od rudawej gleby, poprzez najróżniejsze odcienie zieleni, aż po zmienne niebo.

W chwilach, kiedy docierałam do siebie samej, z zimną krwią zadawałam sobie pytanie, kiedy w końcu tu zwariuję.

Najlepiej mi było w chałupinie po starym Manku. Tam trawiłam niekończące się godziny w jakim takim poczuciu bezpieczeństwa.

Joza wychodził z domu, zanim się budziłam. Piec grzał, na stole stał koszyk, a w nim chleb, ziemniaki i inne warzywa, jajka, czasem był w nim kawałek twarogu i kostka masła zawinięta w zielony liść. Obok stał dzbanek z mlekiem. Uważałam to za naturalne zjawisko, tak samo jak wszystko inne, co mnie tu spotykało. Mój dzień był wypełniony czekaniem na Jozę. Nudę nieco rozpraszało mi szykowanie pozał się Boże posiłków.

Joza zjadał wszystko bez mrugnięcia okiem. Nawet to, nad czym sama oblewałam się rumieńcem wstydu. Umiałam tylko zrobić herbatę i zagrzać wodę do mycia. Ja myłam się w nagrzanej kuchni, on w cebrze w sieni. Zimno mu nie przeszkadzało. Wracał brudny, zmęczony, ale ożywał natychmiast, kiedy się opłukał. Czasami do stołu siadał z niezrozumiałą ochotą, jakby zamiast moich nędznych wytworów czekały go tam nie wiadomo jakie rarytasy.

Czasem zbierało mi się przez to na płacz.

Obserwowałam Jozę z nieustającą podejrzliwością i tylko czekałam, kiedy pokaże swoje prawdziwe oblicze. Nie było sensu robić sobie złudzeń. Chociaż nie do końca, to jednak w wystarczającym stopniu zaznajomiłam się już z pozycją żelarskiej kobiety żyjącej w poddaństwie u męża żywiciela.

Niepisane prawo, które potwierdziłyby przysięgą nawet te kobiety, które rządziły swoimi mężami.

Joza na razie nie próbował mi rozkazywać. Jak długo pozostanę dla niego panią doktor?

Po jakichś czternastu dniach powiedział: – W niedzielę przyjdzie Pavel ze swoimi chłopakami, będziemy robić podłogi.

Nie wiedziałam, co mam począć z tą informacją.

Rzeczywiście w niedzielę rano przy miedzy zatrzymał się wóz drabiniasty wyładowany deskami. Razem z chłopami przyjechała też Żenia i jej córka Jirzinka. Niosły kosz z jedzeniem. W Żelarach system kartkowy nie działał. Siłę nabywczą miały tylko kupony na tytoń. Dla mnie i dla Jozy był to ważny środek płatniczy.

Juriga trzymał cztery krowy, z tego tylko jedna była oficjalnie zarejestrowana. Kiedy robiło się gorąco, bydło przeprowadzano tajnymi ścieżkami na Słowację, do któregoś z zaufanych kamratów.

Na terenach przygranicznych handel kwitł. Przez granicę przemycano wszystko, nawet konie. Zysk zazwyczaj ginał w bezdennych gardłach opojów.

Po Żeni i Jirzince przybiegły dziewczynki Jurigi – bliźniaczki. W końcu odkryłam, skąd co rano bierze się u nas koszyk z jedzeniem i dzbanek z mlekiem. Przynosiły je dziewczynki w drodze do szkoły, podczas gdy ja wylegiwałam się w łóżku.

W żelarskich chałupach nie zamykało się drzwi.

Wszyscy (oprócz mnie) zabrali się do pracy.

Joza, robotnik z tartaku, drewno dostał za pół darmo. Całkiem za darmo zwożono nam różne odpady, trociny i opilki. Te naturalia uzupełniały kiepską płacę.

Nie mogłam się nadziwić, jak szybko, starannie i dokładnie odbywa się „robienie” podłóg.

Znalazłam sobie zajęcie w kuchni. Obierałam warzywa.

Wieczorem wydobyłam z siebie poniżające zdanie: – Żeniu, niech mnie pani nauczy gotować.

Odpowiedziały mi dwa dołeczki w policzkach.

Stopniowo nauczyła mnie gotować, szyć, szydełkować, dziergać, robić koronki na klockach, wiązać miotły, toczyć garnki na kole, uprawiać ogródek. Moje ręce, przywykłe do skalpela, teraz musiały się posługiwać warząchwią, igłą, grabiami, motyką i kosą.

Tylko rąbać drewna Joza nigdy mi nie pozwolił. Nie rozumiałam, dlaczego, ale nie zapytałam. Gdybym zaczęła się zastanawiać, dlaczego ta czynność, zupełnie mi obca, tak mnie pociąga, pewnie bym się przestraszyła.

Nie zastanawiałam się.

Do tej pory nigdy w życiu nie przyjmowałam niczego tak naturalnie.

Nagle pojawiła się radość. Gnała mnie do prac, do których od dziecka czułam niechęć. Nawet opiekanie kielbasek, gotowanie zup czy smażenie grzybów na biwakach traktowałam jako poniżający obowiązek i przejaw dyskryminacji dziewcząt.

W chałupie Manka zamiatałam sień i nie przeszkadzało mi to. Deskę w ubikacji szorowałam z przyjemnością.

O tym kiedyś wspominała babcia. Praca to szczęście.

Kiedyś byłam szczęśliwą lekarką.

Teraz jestem szczęśliwą gospodynią u wiejskiego głupka.

Nie minęło dużo czasu, a nasz dom był urządzony.

Każdy ranek zaczynał się brutalnie.

Budziłam się bardzo wcześnie. Chociaż Joza starał się wstawać jak najciszej, na nic się to nie zdało, razem z nim znikało jego ciepło. Czasami budziłam się przed nim i sprawdzałam na kukułce, ile jeszcze zostało czasu, zanim moje gniazdo zostanie zniszczone. Wskazówki pędziły jak oszalałe. Słodkie wylegiwanie się psuła mi złość.

Po dłuższej walce przykazałam sobie, że mam wstawać razem z moim mężem. Dałam mu jeszcze pięć minut i zaczynałam swoje prześladowania.

Zdybałam go przy piecu. Z żylastych rąk, których nigdy nikt nie oszczędzał, wyjęłam mu polano.

Panie Janda, wie pan, co to takiego piromania?

Nie wiedział.

Za to umiał anielsko się śmiać.

Szykowałam mu jedzenie, zawijałam w ściereczkę drugie śniadanie (chleb z twarogiem z papryką i cebulą), a po jego odejściu stawałam na progu izby. Całkiem obudzona i dziwnie świeża.

Cud, który się zdarzył, powstał nagle i dosłownie z niczego.

Nie był to jedyny cud. Pomiedzy oknami, w których powiewała siatkowa zasłona, stał stół z dwoma plecionymi fotelikami. Naprzeciwko łóżka – trzyczęściowa szafa z wyplatanymi drzwiami. Podłoga była pokryta grubym papierem w delikatny beżowy wzorek. Kołdry były wypchane skubaną wełną żelarskich owiec.

Moje dawne mieszkanie, nora pozbawiona własnego charakteru w mieście pełnym światła, teatrów, galerii, sal koncertowych i szerokich ulic z bogatymi wystawami, niezauważalnie zmieniało się w trupa, na którym można już było tylko przeprowadzić sekcję zwłok.

Jozie i Żeni przedmioty nieożywione wręcz rozkwitały pod palcami.

Nie mogłam się nadziwić swojemu własnemu pragnieniu tworzenia i zapalać do prac manualnych. Udany koszyczek, własnoręcznie zrobione na drutach rękawice z wymyślonym przeze mnie wzorkiem albo nawet pomysłowo przyrządzona sałatka z warzyw wzbudzały we mnie zachwyty.

W głowach naszego łóżka stała wąska szafka z półkami – biblioteczka Jozy. Były w niej broszurowe zeszyty z serii *Ziemia i ludzie*. Znalazła je Żenia, kiedy sprzątała w szkole na strychu, i oddała Jozie. Znał je niemal na pamięć.

Mogłam sobie wszystkie te jego książki przeczytać. Wolałam jednak, żeby spokojną wieczorową porą, w opadającej szarości, on sam prowadził mnie przez puszcze, pustynie, pampasy, tundry, zapoznawał ze zwierzętami i ludźmi z obcych krain.

Płoneły mu przy tym policzki.

Rano, zanim wróciłam do kuchni, roztrzepałam pościel, otworzyłam okna na oścież i wpuściłam wiatr, żeby trochę u nas pohulał. Przejrzałam się w lusterku zapieczonym w jarmarcznym sercu z piernika, które wisiało nad stolikiem między oknami. Joza kupił je kiedyś dla matki, przechowywała je aż do śmierci. Postałam chwilę przed naszym jedynym obrazem, stworzonym przez Żenię. Był to haft na grubej siatkowej tkaninie rozpiętej na słomianej

ramie. Przedstawiał lustro wody, w którym odbija się kwitnąca wierzba. W tym obrazie Żenia zakłęła jakieś przesłanie, ale nigdy mi nie powiedziała, jakie. Kiedy zapytałam o to wprost, powiedziała, że jest to wspomnienie o jej zmarłej siostrze Cilce.

Moje opętanie pracą realizowało się nie tylko w chałupie Manka. Mój świat rozszerzył się na wszystkie chałupy, lctóre stały w najbliższej okolicy.

Do szczytowych przeżyć należało dojenie krów i koszenie trawy u Jurigów. Ich ośmioro dzieci (włącznie z nieprzystępnym Vojtq) bez wahania mówiło do mnie ciociu, od czego robiło mi się ciepło na sercu.

Kosę powierzyła mi – nieufnie – żona Pavla, Juliszka. I rzeczywiście, z początku ciągle wbijałam ją w ziemię, zanim nauczyłam się właściwie prowadzić ostrze i zgrabnie zataczać łuk. Z krową było jeszcze gorzej. Bałam się tego ogromnego zwierzęcia, zwłaszcza kiedy się na mnie podejrzliwie oglądało (przy dojeniu rozwiązało mi fartuch Juliszki i przeżuwało troki). Z drżeniem siadałam na niskim stolku obok pełnego wymienia. Zaskoczyło mnie, że wymię było strasznie twarde. Pod koniec dojenia nie czułam już palców, a mimo to Juliszka musiała po mnie dokończyć.

Nie poddałam się. Po jakimś czasie mnie też mleko ciekło równą strugą i pieniło się w drewnianym ceberku. Krowa już mnie rozpoznawała (kiedy ja męczyłam się z jedną, Juliszka zdążyła wydoić trzy) i witała mnie dokuczliwym szturchaniem.

Mnóstwo przyjemności (dziecinnych) dostarczało mi ciele. Kucalam w kącie obory na podściółce z zeszłorocznych liści i pozwalałam obniuchiwać się pachnącej mlekiem mordce.

Kiedy Juliszka, człowiek dobrego serca, poznała moją słabość do młodych zwierząt, podarowała mi dwa króliczki. Najpierw siedziały w skrzynce, którą zbił dla nich Joza, ale wkrótce wpuściłam je do komórki, potem do kuchni, a w końcu i do pokoju. W odróżnieniu od Azora, z którym od razu przypadli sobie do gustu, pedantycznie przestrzegały czystości. Stary pies większość dnia przesypiał w słońcu na podwórku, a króliczki poskakiwały wokół niego na tylnych łapkach.

Ech, ty stare psisko-bydlaczysko, napominałam siwego staruszka, jesteś tu tylko po to, żeby króliki miały zabawę.

Cieszył się z tego.



Nie do pomyślenia było, żebyśmy kiedyś mogli te króliki zjeść. Zrozumiałam, jak to się stało, że Żenia jest wegetarianką.

Na oko Azor mógł mieć jakieś piętnaście, szesnaście lat. Snuł się za mną na słabych nogach i udawał, że sprawuje nade mną pieczę. Nie miał do tego wiele okazji. Tylko kiedy ktoś szedł miedzą, ostrzegawczo szczekał.

Nie miał robaków, musiałam tylko wytepić mu pchły.

W nocy, wyciągnięty u nóg Jozy, charkotał swoje starcze melodie, z których czasem ze szczekotem uwalniały się jakieś psie sny. Wtedy warczał i drgała mu łapa.

Kiedy wychodziłam z domu, uważał za swój obowiązek mi towarzyszyć. Przed karczmą, do której zaszłam kupić jakiś drobiazg, napadł go czyjś wilczur, który widocznie nienawidził całego świata. Skoczyłam i jednym chwytem uwolniłam Azora. Przydusiłam napastnika jego własną obrożą – postrzępionym powrósem. Wiem, jak trzeba ścisnąć. Musiał otworzyć pysk i puścić kark, w który się wgryzł.

Mocno trzymałam wściekającą się bestię i nie wiedziałam, co dalej, co więcej zaczynało mi brakować sił.

Potem przeżyłam szok. Z szynku wybiegł Vratislav Lipka, położył rękę na psim łbie, przejął ode mnie przerwany sznur i powoli rozluźniał chwyt. Coś cicho i niezrozumiale mruczał. Pies nie tylko nie rzucił się na niego, ale przeciwnie – zaczął machać ogonem i radośnie skowyczał. Na nas już nie zwracał uwagi. Wślizgnął się za chłopakiem do karczmy, a za chwilę wybiegł z niej z rogalem w pysku.

Azor miał ranę na swojej starczej skórze, ale nie była groźna, chociaż porządnie krwawiła. Przewiązałam ją chustką do nosa i zaniiosłam go na rękach do domu. Szynkowi bywalcy mieli dobrą zabawę.

Opowiedziałam to niezwykle zdarzenie Jozie.

– Tak – skinął głową. – Lipka zna się tu z każdym psem.

Widocznie nie było się czemu dziwić. Więc się nie dziwiłam.

## 9.

Mimo że Joza w żaden sposób mnie nie krzywdził (raczej rozpieszczał), żyłam w ciągłym napięciu. Męczyły mnie złe przeczucia. A jeżeli wszystko jest inaczej? Jeżeli ciągle tylko korzystam z mojej dawnej pozycji lekarki? Jeżeli tylko wyjadam jadło z miski, w której kiedyś pokaże się dno? Nadejdzie godzina prawdy, a z mojego męża wyjdzie brutal.

Na razie jeszcze bawimy się w dawną grę: w panią doktor i pacjenta.

Ale niepewność unosi się w powietrzu jak dzwonek, który czasem pobrzękuje.

Joza nie jest przecież tak nieludzko bierny. Pierwszego dnia uziemił tamtego człowieka jednym ciosem.

Kiedy przyjdzie kolej na mnie?

Na razie z niczym nie wyskakuje, ale czuję, że oplatają mnie niewidzialne włókna – że czyha. Jego życzliwość jest tylko pajęczyną. Wiem, że powinnam się przygotować, ale na miłość boską, na co?

Nie daje mi żadnych zrozumiałych znaków. Jeżeli chce złamać moją wolę i rozbić mnie wewnątrz, nie mógł rozegrać tego lepiej. Już od dawna zmagają się we mnie dwie kobiety, a jedna z nich jest niewolnicą.

Na szczęście uśmiech, z którym wraca do domu, stale mnie ostrzega. Wzbudza we mnie złość. Obraża.

Azor za to samo oblizuje mu dłoń.

Kiedy rozbiera się do mycia, jego pozszywana klatka piersiowa kłuje mnie w oczy.

A te jego oczy pokryte kurzem!

Szarość.

Nienawidzę tego koloru.

Przebiegły półmrok.

Białoczerń. Czarnobiel.

Czasami się rozstępuje i gdzieś na samym dnie prześwituje niebieski kryształ.

Jakich to rzeczy można nienawidzić!

Któregoś dnia pokaże mi swoją prawdziwą twarz. Szczerze mówiąc, nie mogłam się doczekać.

I stało się. Zbiłam lampę naftową, jedyne źródło światła w naszej chałupie. Wypadła mi z rąk, kiedy sięgałam po nią na półkę.

Odłamki szkła leżały przede mną na podłodze, miałam wrażenie, że ronią łzy, bo wokół nich rozlewała się kałuża.

Stałam nad zbitą lampą, wyprostowana jakbym połknęła kij. Joza właśnie otwierał drzwi.

Najpierw poznałam siebie sprzed lat. W jednej chwili rozsypałam się w kupkę piasku. Teraz bez przeszkód może wbić we mnie te swoje łopaty.

Zdaje się, że przyszło to w samą porę. Nie ma nic gorszego niż czekanie.

– Jozo, rozbiłam lampę – wydusiłam z siebie, jakby i bez tego nie widział, co się stało.

Spojrzał na mnie tymi swoimi zakurzonymi oczami. Gadzie spojrzenie. Znam je. Znam je dobrze. Nie ma pan pojęcia, panie Jando, jakie miałam dzieciństwo.

Mam ci przylać?

Jeżeli to powie, zacznę chichotać. Chichot jako prolog tragedii. Na to nie wpadł nawet Szekspir.

Głupi okrutnicy nie są winni temu, że są okrutni. Wszystko jedno, co mnie teraz nieuchronnie spotka, i tak było mi go żal.

Odruchowo podniosłam rękę i zasłoniłam twarz.

Już kiedyś się to zdarzyło, dokładnie to samo. Tylko że wtedy ucierpiał termos.

Joza zrobił kilka kroków i jego dłonie przyłgnęły do moich ramion.

To też znam. Najpierw wytrzęsie ze mnie duszę.

Jedna dłoń przemieściła się do góry. Włosy. I to pamiętam.

Był tak blisko, że przestałam go widzieć. Bez słowa przyciągnął moja głowę do swoich piersi.

Kość w łapach psa. Kość, którą przez chwilę oblizuje, zanim ją rozgryzie.

– Nic się nie stało – doszedł mnie z daleka jego głos. – Jeszcze dziś powiem Prokopowi, żeby jutro przywiózł drugą z Szadovej Huty. Z siateczką. Zobaczysz, że ci się spodoba.

Nieznośne napięcie mnie rozplatało. Popękałam w szwach. Wały ochronne, które latami budowałam, puściły i świat nawiedził potop.

Trzęsłam się w objęciach Jozy. Kto by pomyślał, że jest we mnie tyle wody? Jak w mokrej szmacie. Najbardziej bałam się o to, żeby na jego pozszywanej klatce piersiowej nie pozostał odcisk mojej twarzy.

– Nie płacz, Hanulko, już jutro będziesz miała nową, już jutro.

Moja głowa odskoczyła od niego jak piłka.

– Nie chcesz, żebym cię tak nazywał? – zapytał wystraszony.

– Nie, nie – zaskowyczałam.

Głaskał mnie po włosach, przyciskał twarz do mojej mokrej od łez skóry.

– Kiedy rozbiłam termos – jęczałam mu w szyję – nikt nie powiedział: kupimy nowy.

Nie za bardzo mnie rozumiał. Dotykał mnie bez obrzydzenia. Wydawało mi się, że właśnie teraz, w tym bezwstydnym, szantażującym wyciu, jestem właśnie tą, którą głęboko kocha.

Ach, Slavku, nie! Nie, bo nie chcę!

– Ty się nie gniewasz, Jozo? – odezwało się we mnie coś przewrotnego.

– Dlaczego mam się gniewać?

Z głębin podświadomości na wierzch przedzierała się świadomość, że w jakiejś kosmicznej ruletce właśnie rozbiłam bank.

To, jak mnie Jozka tulił, w niczym nie było podobne do tego, czym raczył mnie Richard, moja miłość, która mną wzgardziła.

Ścierał mokrą sól, póki spływała mi z oczu.

Skuliłam się i zapragnęłam zostać tak do końca życia.

## 10.

Jedną z moich prawdziwych przyjemności było włóczenie się po górach. Joza prowadził mnie przez lasy i zbocza, czasami daleko, aż do sąsiednich wsi. Były do siebie bliźniaczo podobne. Zatrzymywaliśmy się tylko w miejscach, skąd widać było okolicę, i zatapialiśmy się w niej. Sama nigdy bym się z tych lasów nie wydostała, nie mam zmysłu orientacji, za to mój mąż poruszał się pewnie. Na pewno parę razy przekroczyliśmy granicę. Gdzieś z bliska dobiegały nas smutne słowackie pieśni, którymi dziewczęta nawoływały się przez góry.

Kiedyś w wysokich zaroślach o mało nie nadepnęłam na nowo narodzonego koziołka. Wyglądał jak martwy. Wzrokiem przywołałam Jozę. Wziął mnie za rękę i cicho odciągnął od tego miejsca.

– Żyje – odpowiedział, widząc moje spojrzenie. – Tylko udaje martwego.

– A gdzie jest matka? Porzuciła go?

– Nie, leży gdzieś tu w pobliżu. W ten sposób go chroni. Małe nie ma jeszcze zapachu, ona ma. Nie chce, żeby go zwietrzył lis.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Każdy tutaj wie takie rzeczy – odrzucił mój podziw.

Obserwowaliśmy kozłą przez kilka minut. Ani drgnęło. Ale widziałam, że oddycha.

Wspięliśmy się wyżej, między skały, pozostawiając za sobą leśną szarość. Na horyzoncie otworzył się wulkan i wybuchło z niego słońce. Napuszyło się, by powoli płynąć po swoim stawie.

– Mogę ci powiedzieć, co mi przyszło do głowy? – zapytał Joza z zakłopotaniem.

– Mów.

– Pomyślałem sobie, że jak gdzieś jestem z tobą, wszystko jedno gdzie, to zawsze wokół jest pięknie.

Wyznanie powtarzane miliony razy przed nami. Za każdym razem nowe, właśnie odkryte, wyjątkowe. Moje ciało ogarnęła lodowata fala. Skrzyżowałam ręce, żeby czasem nie zechciał ich dotknąć. Na nic się to nie zdało, już za chwilę pomagał mi przejść przez zwałone drzewo.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że jest ci zimno?

Nie umiałabym wytłumaczyć, że północny wiatr, który zmienił moje ciało w lód, miał źródło we mnie.

Od tej pory zawsze nosił ze sobą sweter, a kiedy siadaliśmy, zarzucał mi go na plecy.

Gdyby powiedzieć, że zachowywał się dwornie, zabrzmiałoby to śmiesznie. Dwornie zachowywał się Richard, który miał maniery wyćwiczone i na pokaz.

Joza był delikatny w najprostszy z możliwych sposobów. Delikatny w całej swojej istocie. Tę jego cechę nazwałam później piętnem matki. Jeszcze później określiłam ją jako syndrom „żeby nie zrobić krzywdy”.

Delikatność jako cecha osobowości jest składnikiem uczuciowego bogactwa człowieka i wcale nie musi się ujawnić. Okazywanie uczuć jest w rzeczywistości przełamywaniem barier. Delikatność Jozy była tak naturalna jak krew, która płynęła w jego żyłach. Przyzwyczaiłam się do niej tak szybko i łatwo, że gdyby nagle przestał być delikatny i zaczął się zachowywać na przykład tylko przyzwoicie, poczułabym się jak zbity pies.

Zaczynałam uzależniać się od jego czułości jak od narkotyku. Dobrze wiedziałam, co się ze mną dzieje. Leczyłam się z traum mojego dzieciństwa.

Mój ojciec zginął pod koniec wojny, urodziłam się jako pogrobowiec. Matka wyszła za mąż po raz drugi. Zmarła, kiedy zaczęłam chodzić do szkoły. Ojczym znalazł sobie nową żonę. Miałam dwójkę rodzeństwa, wyrastałam razem z nimi, ale dokąd sięgam pamięcią, żyłam z dławiącym poczuciem, że jestem spychana gdzieś na bok, że jest coś, do czego odmawia mi się prawa. Wstydziałam się tego i rodziły się we mnie złe uczucia. Do tego nieustannie zżerał mnie jakiś nieuzasadniony strach. Gdyby nie babcia, wyrosłoby ze mnie dziwadło.

Joza spłacał dawne długi.

Odnosił się do mnie tak, że każdy inny mężczyzna z Żelar na jego miejscu stałby się do końca życia pośmiewiskiem całej wsi. Ale po Jozie z kuźni właściwie wszyscy spodziewali się czegoś takiego.

Ciągle jeszcze przeklinałam wyrok, który wystrzelił mnie na inną orbitę. Po latach harówki, po latach wyrzeczeń, z moimi zdolnościami, z moim uporem, z moim upojeniem nową wiedzą – mogłam zostać gwiazdą światowych sympozjów, otoczona uznaniem i zawiścią, prowadziłam wyczerpującą walkę z zadowoleniem, które zawsze uważałam za zarodek śmierci, zmagając się z wiecznym strachem przed tym, że nie dam rady – i nie byłaby to wcale bardziej zażarta walka niż ta, którą prowadziłam w przygranicznych górach z miłością Jozy.

Podstawowa różnica polegała na tym, że tam byłabym szczęśliwą zwyciężczynią. Tutaj jestem przegrana.

Z każdym dniem coraz bardziej do mnie docierało, jak mądrze postąpił mój mąż, kiedy wybrał chałupę Manka. Pustych chat było wiele. Młode pary zazwyczaj stawiały sobie nowe siedziby. Miesiąc morderczej pracy, z pomocą przyjaciół.

Joze nie chodziło o dom. Wybrał sąsiedztwo. Żenię, Juliszkę, Luckę. To było najlepsze, co mogliśmy mieć.

Gdybym przez przypadek – jako pomocnica Lucki – nie zaczęła zaglądać do innych chałup, nigdy nie poznałabym Żelar.

## 11.

Mniej więcej po miesiącu Joza zawiózł mnie na grób swojej matki, do bogatej wsi położonej w równinnej ziemi winnic, skąd w wieku piętnastu lat sprzedano go do kowala z Żelar.

Traktowałam to jako swoją powinność wobec jego matki.

– Chciałbym cię pokazać mamie – powiedział Joza. – Chciałbym jej powiedzieć, że się ożeniłem.

Cmentarze nigdy mnie nie wzruszały. Irytował mnie żal, często nieszczerzy i demonstracyjny, obowiązkowe zaduszkowe kwiaty, ogarniał mnie wstyd na widok żalonych procesji, wyciskających z siebie przepisowy żałobny smutek. Babcię kochałam całym sercem, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy płakać na jej grobie.

Nie rozumiałam ludzkiego smutku, któremu symbole i relikwie przynoszą pocieszenie.

Jechaliśmy pociągiem. Wieźliśmy wieniec, który uplotłam ze świerkowych gałązek i małych żółtych różyczek, jakie rosną tutaj w każdym ogródku.

Na stacji w Szadovej Hucie stałam się świadkiem sceny, która uświadomiła mi, jak mądra w obliczu niebezpieczeństwa była moja mysia taktyka: zniknąć z oczu.

Do sąsiedniego wagonu wsiadała kobieta w modnym kostiumie. Na głowie miała elegancki kapelusz. Kiedy mignęła koło naszego okna, doleciał do nas zapach jej wody toaletowej. Ledwie zdążyła wspiąć się po schodkach, a już grupka wiejskich prostaków wypchnęła ją z powrotem na peron.

– Lalunia! Gdzie tu do nas?! Wynocha!

Pojawiła się konduktorka i z uśmiechem upchnęła ją szybko w innym wagonie.

Ta zgraja rozzuchwalonych chłopów była z Żelar.

Naciągnęłam chustkę na głowę.

Po drodze Joza wymieniał mi nazwy wsi, które mijaliśmy. Były rzadko rozrzucone po obu stronach torów. Zdziwiło mnie, że prawie w każdej z nich była cegielnia.

Tory zjeżdżały w dół na równinę, a wokół domków z cegły zaczęły się pojawiać macki winorośli.

Cmentarz był na górze za wsią, musieliśmy pokonać pół kilometra stromej drogi. Joza prowadził mnie za rękę i dopasował rytm swoich kroków do moich. Mimo to porządnie się zziąjałam. Ja, która w naszych studenckich wędrówkach nie ustępowałam chłopcom.



Kiedy przeszliśmy przez cmentarną bramę, nagle ugięły się pode mną kolana. Moja dłoń w ręce Jozy pokryła się potem. Jakbym miała przed sobą trudny egzamin.

Grób był skromny, ale zadbane. Wieniec położyliśmy obok żelaznego krzyża. Staliśmy sztywno koło siebie, Joza się pewnie modlił. Na całym cmentarzu oprócz nas nie było żywej duszy.

Poczułam piasek w oczach. Działo się ze mną coś wbrew mojej woli. Zniewoliło mnie wzruszenie.

Z cmentarza droga biegła z górki, czasami tylko potykałam się o bruzdy wyżłobione przez deszcz.

Po drodze, a potem w pociągu, nie odzywaliśmy się do siebie.

W przedziałach nie było miejsc, siedzieliśmy więc w otwartej części wagonu, pośród rozmawiających głośno podróżnych, oparci o siebie ramionami.

O czym pani myśli, pani Jandova? O niczym.

Ogarnął mnie przyjemny półsen. Docierał do mnie nieprzerwany strumień obcych głosów – chaos dźwięków, które nie mają sensu. Gdzieś w połowie drogi Joza wyjął z koszyka butelkę z zimną herbatą, którą wzięliśmy, żeby popić placki ziemniaczane. Napiałam się, ale na placki nie miałam ochoty. On też.

W Szadovej Hucie oprzytomniałam. Szliśmy piaszczystą dróżką wzdłuż huczącej rzeki. W zakolach ukazywały się głazy w czapach spienionej wody. Woda była wysoka.

Chałupę Manka spowijały szarawe opary. Zapadał zmrok.

Joza zapalił lampę naftową z siateczką i rozpałił w piecu. Ze stojącego na nim glinianego garnka nalał mi ciepłej wody do mycia. Resztę wlał do ceberka w sieni.

Na patelni smażyła się cebula, wbiłam do niej kilka jaj, pokroiłam pora i zmieszałam go z posiekanyim czosnkiem. Joza przyniósł z piwnicy słoik z warzywami i podał mi słodką paprykę – jedno z szybkich, smacznych dań Żeni. Azor, który od naszego powrotu kręcił się koło nas i natrętnie poszcze kiwał, wyjadał swój przydział z miski w kącie. Króliczki dostały po marchwi.

Kiedy w końcu zwinęłam się w pozycji embrionu, w której zawsze spałam, nie zamknęłam oczu. Czekałam, aż na moich włosach zastygnie dłoń Jozy, w nagle przerwanej pieszczocie.

Jeszcze niedawno nie lubiłam spać z kimś w jednym łóżku. Teraz bez najmniejszych rozterek syciłam się grzejącą bliskością cudzego ciała, a od pograżonego w błogości kota różniłam się tylko tym, że nie mruczałam.

Były to chwile mojego prawdziwego szczęścia. Pragnęłam, żeby mój prywatny raj trwał jak najdłużej. Ale nie dało się go przedłużyć w nieskończoność, w końcu znikał we mgle opieszałego snu.

Zawsze myślałam, że śpię spokojnie i bez ruchu, że nie posapuję, nie chrapię, nie mówię przez sen. Tak mówili inni. Kiedyś w schronisku turystycznym moja sąsiadka musiała mną potrząsać w środku nocy, żeby sprawdzić, czy w ogóle żyję.

Okazało się, że tak nie jest.

Obudziłam się ze straszego snu – nic z niego nie pamiętałam. Leżałam na samym brzegu łóżka. Joza nie spał.

– Hanulko – powiedział w sposób znany tylko mnie. Przejechał mi dłonią po rękę i trafił na lodowate palce. Przyciągnął mnie do siebie, żeby mnie ogrzać.

Przytuliłam się do niego i pociągnęłam go lekko za włosy. On za to moją rękę ułożył sobie wokół szyi. Ugryzłam go w brodę, później to ugryzienie starałam pocałunkiem. Potem ugryzłam go w nos. Kiedy przestałam, on mnie wycalaował.

Zasypiałam zwinięta w kłębek, z głową opartą o jego nagą pierś. W moich włosach falował jego oddech.

Rano Joza zachowywał się, jakby był czemuś winny, w jego oczach byłam niewinną ofiarą jego grzesznych zakusów. Nie wyprowadzałam go z błędu.

Mój miłosny idol Richard, istniejący gdzieś w prehistorii, do której z trudem się przedzierałam, był tylko doświadczonym babiarzem, niczym więcej. W porównaniu z nim Joza był czysty jak kryształ.

Zapytałam go, zanim wyszedł do tartaku:

– Kto zajmuje się grobem twojej matki, Jozo?

– Ojciec.

Po raz pierwszy wspomniał o ojcu, którego widział trzy razy w życiu, za każdym razem w czasie żelarskiego odpustu.

Dostał od niego książeczkę oszczędnościową, z której matka nigdy nie podjęła żadnych pieniędzy i napominała syna, żeby jej dobrze pilnował. Gdzieś mu się zapodziała, kiedy się sprowadzał do Żelar.

## 12.

Był wilgotny jesienny dzień. Niebo było ciężkie od deszczu, ale na razie tylko mżyło. Postanowiłam, że w tym deszczu-nie-deszczu pójdę nazrywać ostrężyn na zboczu nad naszą chałupą. Weszłam w zarośla i delikatnie wkładałam do koszyka dojrzałe owoce, napęczniałe czarnogranatową słodyczą, której nie da się z niczym porównać. Zapuszczałam się coraz dalej i dalej. Śpieszyłam się. Lało już dwa tygodnie z krótkimi przerwami. Brakowało mi Azora, który zawsze chodził za mną krok w krok i stanowił moją problematyczną, ale ofiarną ochronę. Leżał teraz w kuchni ze złamaną łapą. Złapał się w sidła jakiegoś kłusownika, na szczęście rana nie była groźna.

Pomyślałam o nim ze wzruszeniem. Kiedy przed wyjściem pogłaskałam go po głowie i powiedziałam, że niebawem wrócę, spojrział na mnie z oddaniem.

Przyspieszyłam tempo, lada chwila mogło lunać. Bogactwo plonów oddalało chwilę powrotu. Zarośla otaczały mnie ze wszystkich stron.

Kiedy spadły pierwsze krople, miałam już niemal pełny koszyk. Odwróciłam się i zaczęłam się przedzierać przez kolczaste krzaki. Zatrzymałam się na przesiece, ale to nie była ta ponad naszą chałupą. Serce zaczęło mi łomotać. Przede mną nieznanne strome zbocze opadało prosto w czarnozieloną głębię. Pośpiesznie wróciłam w gąszcz i zaczęłam rozglądać się za ścieżką, którą tu przyszłam. Ale zarośla już się za mną zamknęły.

Rzuciłam się w płataninę ścieżek, po których poruszałam się jak mucha w pajęczynie.

Myśl, nakazywałam sobie, myśl!

Ostreżynowe zarośla są duże, ale przecież gdzieś się kończą. Możesz je obejść. Spróbowałam. Ale drogę przeciął mi kłęb mgły, a kiedy wiatr go rozwiął, nie było za nim nic oprócz nieba. Otwarte niebo na dwa kroki przede mną. Na sekundę zamknęłam oczy. Panika. Muszę ją opanować. Za późno. Już dawno ona opanowała mnie.

Usiadłam, a właściwie zwałam się na ziemię.

Poczułam ugryzienia mrówek i zorientowałam się, że górka, na której przysiadłam, jest ogromnym mrowiskiem. Doprowadziło mnie to na skraj przytomności umysłu.

Myśl!

Gdyby na moim miejscu był Slavek albo jakiś inny rozsądny, inteligentny człowiek, umiałby sobie poradzić. Ale moje myślowe wyprawy są tylko dreptaniem w miejscu.

Położyłam się na ziemi, przylgnęłam ciałem do butwiejących liści i głęboko wdychałam ich gorzki zapach. Trochę mi to pomogło.

Myśl!

Jesteś na skraju jakiegoś zbocza. Jesteś na skraju skalnej przepaści.

Centymetr po centymetrze, jak przydeptany robak, przedzierałam się do przodu, czołgałam się ku ziejącej grozą szarości nieba. Gardziel przed moimi oczyma była pełna drgających cieni. Trzymałam się rozpaczliwie ziemi, jedynej rzeczywistości.

Naprawdę było to urwisko.

Zaczęłam oddychać szybciej, ze wszystkich porów skóry wyciekał mi pot. Pod urwiskiem rozpościerał się las. Z tej wysokości wydawało mi się, że rośnie na równinie. Gdzieś niedaleko odciął go deszcz.

Myśl!

Usłyszałam odgłos ciurkającej wody. Z nawisu spływała strużka. Trochę niżej zmieniała się w strumyk.

Imadło zwierające moją pierś zwolniło uścisk. Ta woda dokądś płynie!

Szukałam miejsca, z którego odważyłabym się zejść w dół. Koszyk gdzieś przepadł. Na goleni miałam krwawą smugę, drobny deszcz oblizywał ją łapczywie. Przytrzymałam się kamiennego występu, żeby chwilę odpocząć.

Usłyszałam dźwięk przypominający szczeknięcie i odwróciłam się. Nade mną stał jelen z ogromnym porożem. Zniknął w tej samej chwili, w której dostrzegł mój ruch.

Ręce mi wkrótce omdlały i zaczęłam zbiegać po stromej, pokrytej błotem powierzchni, potykając się co krok. Zatrzymałam się na brzegu potoku.

Spojrzałam w górę i nie mogłam uwierzyć, czego dokonałam. Zawieruszył mi się gdzieś jeden but, wyrzuciłam więc i drugi. W zimnej wodzie strumienia nie czułam bólu, ale nie miałam siły iść po drobnych, uciekających mi spod stóp kamieniach. Porywał mnie prąd. Wyszłam na brzeg i spróbowałam przedzierać się przez pokrzywy, ale to było jeszcze gorsze, więc znowu weszłam do lodowatej wody. Na szczęście las zaczął prześwitywać, drzewa rzedyły. Zbliżałam się do miejsca, w którym strumyk wpadał do wytęsknionej rzeki. Przyspieszyłam.

Potem stanęłam jak wryta.

Potok nie wpadał do rzeki. Wlewał się w bagnisko. Deszcz znowu ustał na chwilę, chmury się przetarły. Wolno falująca, porośnięta zielenią płaszczyzna wody przerażająco smagało zachodzące słońce. Przedemną kłębiły się krwawe języki. A żeby dopełnić zgrozy, ponad wodą, jakby wystawał z oka na rosole, majaczył kikut jakiejś budowli.

Odwróciłam się plecami do tego przerażającego widoku i ostatkiem sił rzuciłam się do ucieczki.

Przedzierałam się pod prąd, na piaszczystej mieliźnie wyszłam z wody i zaczęłam się wspinać pod górę. W rzeczywistości czołgałam się na pokaleczonych łokciach i kolanach. Nie byłam zdolna do żadnego wysiłku myślowego, czułam się jak człowiek, który lada chwila dosięgnie dna.

Mój ratunek był na górze. Nachodzi noc i nie wolno mi zgubić się w ciemności. Z trudem łapałam oddech przez otwarte, wysuszone usta.

Dowlókłam się do pustego paśnika. Uznałam go za swój cel i skuliłam się koło niego. Zbutwiałe drewno było nasiąknięte wodą i cuchnęło.

Niebo powoli zamykało mi się nad głową.

Zdziwiłam się, skąd biorą się moje łzy, skoro jestem tak spragniona.

Parę metrów pode mną podskakiwała wąska strużka wody, której tak nierozważnie zawierzyłam. Poryw wiatru przewiał mi myśli – i już wiedziałam, co mnie czeka. Nadciąga górską ulewa z wichurą. Było mi wszystko jedno. Kiedy czern nade mną przypuściła atak, poczułam jakąś przewrotną radość.

Wiatr szarpał gałęzie wbijane w ziemię przez miotły wody, świat trząśł się w posadach, a ja nie czułam strachu. Z zaciekawieniem obserwowałam błyskawice, trzaski gałęzi brzmiały jak krzyki leśnych ptaków, nie przeszkadzało mi, że jestem nieuzbrojonym szeregowcem na pierwszej linii ognia.

Dla zabicia czasu, który mi pozostał, przypominałam sobie odległe rzeczy. Dzieciństwo i czasy studiów. Z obojętnym chłodem zastanawiałam się, jak to się stało, że z moim charakterem, z moim permanentnym strachem przed niepowodzeniem – w końcu zostałam lekarką.

Śmiałam się z tego w duchu, otwarcie nie mogłam dać temu wyrazu, bo zabrakło mi głosu.

To jest właściwy kres mojej ziemskiej wędrówki: uwięzłam w skalistych kleszczach obok spróchniałego drewna, z poranioną skórą i roztrzęzionym ciałem, a na ramiona zwała mi się płynne niebo.

## 13.

Coś gorącego i obślizgłego przejechało mi po twarzy.

– No, bryśku, dostaniesz serdelka. Co mi się roi?

Dwie zjawy. Skuliłam się.

Joza podnosi mnie z ziemi, a Vratislav Lipka głaszcze psa, który skoczył mu na piersi. Wilczur. Chyba ten sam, który o mało nie zagryzł Azora. Wszystko to dociera do mnie w poświacie błyskawic.

Joza coś do mnie mówi, ale nie rozumiem ani słowa, chociaż jego usta są o centymetr od mojego ucha. Odgłosy piorunów tłumią ludzki głos.

Ocknęłam się dopiero w domu, wydawało mi się, że po paru minutach, ale musiało to trwać o wiele dłużej. Pamiętam, jak Lipka powiedział, że będzie mnie niósł, i że Joza się nie zgodził.

Zanim dotarliśmy do chałupy Manka, niebu odbiło się po raz ostatni i to był koniec wichury

W kuchni było ciepło, jasno, spokojnie.

Wydało mi się całkiem naturalne, że Lipka z psem gdzieś zniknął i że zamiast nich pojawiła się zielarka.

Chcę Jozie opowiedzieć, co mi się roilo – te obrazy z za grobu -ale struny głosowe mam wyschnięte, muszę się czegoś napić. Lucka to odgadła i podała mi kubek herbaty. Upiłam łyk i zorientowałam się, że to śliwowica. Wydobyłam z siebie parę nieartykułowanych dźwięków, napiłam się jeszcze raz i odzyskałam głos.

– Widziałam moczary, a w nich był zawalony dom.

– Tak – przytaknął Joza. – To był stary młyn.

Chciałam się jeszcze napić, ale Lucka odebrała mi napój. Dała mi coś innego, tym razem naprawdę była to herbata. Wydzielała mi ją po łycku.

Moja skóra natychmiast ją oddawała. Pot oblewał mnie całą od stóp do głów.

Lucka powiedziała Jozie, żeby mnie rozebrał i włożył do balii z ciepłą wodą. Joza delikatnie obmywał mnie gąbką. Przy każdym moim syknięciu wykrzywiała mu się twarz.

– Porządnie! – napomniała go Lucka.

– W nogach ma pełno cierni, kmoterko.

– To je powyciągaj.

Joze zaczęły trząść się ręce.

Lucka rzuciła mu flanelowy ręcznik.

– Wytrzyj ją i posadź na ławie. Przytrzymaj ją.

Sama zajęła się moim ciałem. Wyciągała ze mnie drzazgi, wydłubywała kamyczki, czyściła rany i tak sobie ze mną poczynała, że straciłam

świadomość. Następne, co pamiętam, to że leżę w łóżku, wsparta plecami o poduszki, i widzę na swoim ciele bandaż z białego płótna.

Usłyszałam słowo „doktor”.

– Nie! – krzyknęłam. – Nie!

Krzyk wyrwał mnie z letargu.

– Nie, Jozo, nie chcę! Nie pozwól jej!

– Masz prawie czterdzieści stopni – zaskrzeczała Lucka i strząsnęła termometr.

Na poparcie jej słów zaczęłam szczekać zębami.

– To nic – zachrypiałam. – Jozo, wiem, co mówię! To przejdzie! Wiesz, że mogę to ocenić! Wiesz, że mam rację, Jozo!

Joza już zakładał kapotę, ale moje słowa go zatrzymały. Wyciągnęłam do niego rękę. Kiedy ją odruchowo chwycił, uwiesiłam się na nim ze wszystkich sił.

– Jozo, to tylko nerwy! Poczekać godzinę! Potrzebna mi godzina spokoju!

Trzymałam go i wierzyłam, że nad nim panuję. Gdyby chciał, z mojego chwytu mógłby się wyswobodzić jak z dłoni niemowlęcia. Przysiadł koło mnie, a ja dla pewności zwałam się na niego połową ciężaru mojego ciała. Lucka bujała się w wyplatany fotelu i uśmiechała się z lekka.

– Może i racja. – Spojrzała na kukułkę na ścianie. – Godzina? No dobra.

Joza znów oparł mnie na poduszkach.

– Dołóż do pieca i zrób jakąś kolację, jestem głodna – rozkazała starucha, ale sama nie ruszyła się z miejsca.

Po godzinie zmierzyła mi gorączkę i wyszczerzyła się do mnie w uśmiechu.

Zanim Joza przygotował kolację, Lucka przyrządziła jedną ze swoich najokropniejszych driakwi.

Sama nie wiem, jak udało mi się ją przełknąć, zjeść kolację i usnąć.



## 14.

Zapalenie płuc, zakażenie krwi, atak serca – nic z tego nie groziło mi po ostrężynowej eskapadzie. Za to nieoczekiwanie odezwał się inny organ. Dostałam ataku kolki. Woreczek żółciowy już wcześniej czasami mi dokuczał, ale jakoś radziłam sobie za pomocą diety.

Tym razem mnie ścięło. Dały o sobie znać nerwy, wszystkie przeżyte stresy. Zaordynowałam sobie gorzką herbatę, a Jozie powiedziałam, że boli mnie żołądek.

Ataki bólu nie ustawały. Wymiotowałam tak, że pękały mi żyłki w oczach i białka pokrywały się krwią. Wystraszony Joza znowu sprowadził mi to okropne babsko z pełnymi ironii (pięknymi) oczyma, wstrętną wiedźmę Luckę Vojniczową. Posłałam mu mordercze spojrzenie.

– No i co? – zapytała mnie stara wesoło.

– Nic. Proszę mnie nie budzić.

– Wcale nie spałaś. – Wyszarpnęła spode mnie poduszkę i odrzuciła koc. – Połóż się na płask. Rozluźnij brzuch.

Spróbowałam się podnieść.

– Zostawcie mnie w spokoju.

Pchnęła mnie z powrotem na łóżko i zbadala mnie – niezwykle sprawnie i z nieoczekiwaną siłą. Naciskała w odpowiedni sposób i we właściwych miejscach. Kiedy dotarła do drugiej połowy brzucha, jakby dźgnęła mnie nożem. Zdradziłam się, wydarł się ze mnie krzyk bólu.

– Woreczek żółciowy – ogłosiła bezbłędnie. – Sądząc po tym, jak wyglądasz, masz tam zapalenie, albo i kamienie. Jak długo cię to trzyma?

– Drugi dzień – skłamałam.

Skrzywiła się z niedowierzaniem.

– Na razie dam ci zioła – oświadczyła. – Dwie łyżki od zupy na litr wody. Zagotujesz, odstawisz i będziesz pić, jak przestygnie. Pięć razy dziennie. Czyli w nocy też. – Podała mi torebkę.

Potem już nie zajmowała się moją niemocą, ale nie odmówiła śliwowicy.

Przysięgam sobie, że nawet nie spojrzę na te jej pomyje.

Następnego dnia znów ją miałam na głowie.

– Nie pijesz ziól – skonstatowała chłodno.

– Piję.

– Nie pijesz.

– Skąd ta pewność?

– Mam nosa, dziewczyno. Chuchasz na mnie żywym sokiem żołądkowym.

Przeklełam ją w tej chwili. Nienawidziłam jej i nie czułam obowiązku, żeby być wobec niej w porządku. Dobijało mnie, że wpadłam w szpony średniowiecznej wiedźmy.

– Ale i tak – oznajmiła mi bez krzty współczucia – i tak pójdiesz pod nóż. Nie jesteś strachajło, to i dobrze – zaśmiała mi się w twarz.

Trzęsłam się ze złości, chociaż nie miałam powodu. Stara nie bawiła się moim kosztem. Mówiła beznamiętnie, tak samo, jakby rozmawiała z każdym innym. Nie podkreślała słów żadnymi gestami. Odnosiła się do mnie bez osobistych emocji, z pewnością, która nie dopuszcza dyskusji, decydowała o mnie, jakby upoważniało ją do tego jakieś wyższe prawo, wygłaszała ostateczne wyroki, a jej największą wadą było to, że się nie myliła. Czułam się jak martwa rzecz. Nie nawiązywała ze mną żadnego kontaktu, nie przyjmowała do wiadomości, że mam duszę. Wszystko, co się we mnie gromadziło, było jej objawione wcześniej niż mnie, z góry wiedziała, że jej niczym, ale to niczym nie zaskoczę.

Później miałam wiele okazji, żeby poznać Luckę lepiej. Zawsze była taka sama.

Otoczona niebezpiecznym wirowaniem świata, sama znajdowała się w jego nieruchomym punkcie – w oku cyklonu.

Przypomniało mi się, jakie wrażenie zrobiła na siostrach w szpitalu.

Czasem ogarniała ją furia. Właściwie wściekała się często. Tyle że jej wściekłość (przerażająca) była pozbawiona rysów indywidualnych, jakby istniała gdzieś poza nią. Lucka się jej nie poddawała. Straszyla nią innych i

w głębi duszy pewnie chichrała się z tego tym swoim koszmarnym śmiechem.

Śmiech Lucki – to była cała gama śmiechów. Minęło sporo czasu, zanim zaczęłam się w niej trochę orientować.

Na karku miała już siedemdziesiątkę z okładem, ale po zboczu wspinała się jak młódka. Jej jasne spojrzenie, zawsze trochę ironiczne (przynajmniej takie odnosiłam wrażenie), nie zdradzało żadnych oznak starości. Alkohol piła jak chłop. Każdy inny w jej wieku miałby zniszczoną wątrobę. Widocznie w dobrej formie trzymało ją to, że nie brała do ust żadnych podejrzanych popłuczyn, nikt nie odważyłby się poczęstować jej czymś innym niż najprzedniejszą przepalanką.

Gorzałkę pędzili tu wszyscy na potęgę. Nikt się nie przejmował żadnymi pozwoleniami czy opłatami. Mało kto wiedział, że coś takiego w ogóle istnieje. Nawet ci, którzy nie pędzili, jak na przykład Joza, zawsze mieli w domu butelkę dla gości. Kupowali ją w szynku. Karczmarz, skądinąd złodziej i zdierca, śliwowicy – swojej dumie – oddawał całe serce.

Ledwie zdołałam dojść do siebie po wizycie zielarki, znowu zostałam wytracona z równowagi, tym razem przez doktora Beniczka. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby mnie zbadać, tylko oświadczył, że jedzie do miasta i że zabiera mnie do szpitala.

– Niech się pani nie boi, pani Jandova, za tydzień będzie pani w domu.

Uśmiechał się do mnie tym profesjonalnym, pustym uśmiechem, którego fałsz, znany mi przecież z własnej praktyki, po raz pierwszy do mnie dotarł.

Łzy napłynęły mi do oczu, czułam się poniżona.

Jeszcze nie znałam medycyny od tej strony.

Beniczek spojrzał na mnie i jego głos przybrał fałszywie słodki ton.

– No tak, pani Jandova, niech się pani weźmie w garść. Przecież nie chce pani cały czas... – szukał słowa i o mało przy tym nie ziewnął – ...mieć kłopotów.

Jak strasznie mu przeszkadzam i jakże go nudzę!

– Dziękuję, panie doktorze – wyjąkałam. – Co mam ze sobą wziąć?

A niech się cieszy! Będę przykładnym pacjentem, który się trzęsie, tak jak trzeba.

– Mydło i ręcznik. Może chusteczkę do nosa. Całą resztę dostanie pani od nas.

Spojrzał chłodno na Jożę. Odczekał chwilę, zanim się odezwał.

– Może pan z nami jechać, panie Janda. – „Panie Janda“ zabrzmiało o jeden ton bardziej pogardliwie niż zwykle „Jozo”. Uśmiechnęłam się spokojnie do swojego męża, z otuchą, porozumiewawczo.

Napięcie ustąpiło z jego twarzy.

Spodziewałam się karetki, tym bardziej – znowu – upokorzył mnie samochód doktora. Po drodze jakoś mi się to wszystko poskładało w głowie. Stwierdziłam, że i nad doktorem Beniczkiem Lucka ma niezwykłą moc.

Czwartym pasażerem była Żenia. Wysiadła w Szadovej Hucie na rynku. Podziękowała, a lekarz podał jej rękę na pożegnanie. Mnie nie podał ręki, kiedy zęgnął się ze mną w szpitalu.

– Niech się pani niczego nie boi, pani Jandova.

Zapomniał, że już mi to raz powiedział, tym samym tonem. Zwrócił się do Joży.

– Tylko coś załatwię i wrócę po pana, panie Janda.

Badania przed operacją przebiegły gładko, tylko zirytował mnie jeden kardiolog. Młody arogancki typek, który szybko nauczyłby się chodzić jak w zegarku, gdybym go miała w swoim zespole. Ze wzrokiem utkwionym w jednym punkcie kiwał ze znanstwem głową i wysysał sobie spomiędzy zębów resztki obiadu. Mam go zapytać, na co się tak gapi?

– Jeszcze panią osłucham, pani Jandova. Oddychać... nie oddychać...

Jeździł po mnie stetoskopem, Jezu, chyba go zaraz palnę!

Cała się spociłam z wysiłku, żeby się opanować. Dziwiłam się, że tym swoim władczym tonem nazywa mnie panią Jandovą, zupełnie jakby mówił: ty wiejska ciemna maso.

Z zadowoleniem zauważył mój domniemany strach i przejechał mi dłonią po wilgotnych plecach.

– Tośmy się najedli strachu, prawda? – rozkoszował się słowami. – Wszystko w porządku, może się pani ubrać.

Wyssał pomiędzy zębów kawałek mięsa i mlasnął.

Jak przez ciebie dostanę zawału, ty bydlaku, to Joza rozkwasi ci facjatę!

Poprosiłam pielęgniarkę o coś na uspokojenie. Pogładziła mnie po ręce, ale nic mi nie przyniosła.

Następnego dnia miałam operację, całkiem porządna robota. Kiedy podawali mi narkozę, nie mogłam się pozbyć wrażenia, że stoję tam wśród nich, i gorycz ścisnęła mi gardło.

W mojej sali leżało jedenaście kobiet. Bez żadnych ceregieli od razu mnie poinformowały, że pacjentka z mojego łóżka umarła na raka. Ponieważ nie dość się przestraszyłam, opisały mi w szczegółach okoliczności jej śmierci, zwłaszcza ostatnią noc, kiedy bez przerwy wzywała siostrę. Ku ich rozczerowaniu nawet ten horror ostatniej nocy nie zrobił na mnie wrażenia.

Zmieniły repertuar, a ja od tego drętwiałam. Zwierzały mi się z największych intymności, których nie zdradziłyby własnej matce. Przesiąknięty śmiercią szpital, w którym przez parę dni łączył je wspólny strach, otwierał im usta. Potrzebowały słuchacza.

Z jednej strony przypominało mi to konfesjonał, z drugiej zaś czułam się jak w garnizonie, z którego jutro wszyscy wyruszą do szturm.

Dowiedziałam się tu jeszcze jednej rzeczy – w szpitalu, tak samo jak w wojsku, powodzeniem cieszyły się pieprzne kawały. Żadnego z nich nie miałabym odwagi powtórzyć mojemu mężowi.

Nie byłam zgorszona. Wczułam się w atmosferę. Tutaj wszystko było dozwolone.

Spróbowałam sama dorzucić jakiś odważniejszy lekarski dowcip. Slavek znał ich na kopy. Stłumiłam wspomnienie o naszym ostatnim spotkaniu i zaczęłam. Dwóch patologów, którzy w nawale pracy nie mieli czasu zjeść obiadu, rozcięło żołądek świeżo przywiezionego trupa, żeby sprawdzić, co miał na kolację. Znaleźli tam gulasz i z apetytem się na niego rzucili – był jeszcze ciepły.

Efekt był piorunujący. Jedna z pacjentek dostała torsji.

Dwa razy miałam okazję zrobić użytek ze swojej wiedzy. Raz, kiedy siostra pomyliła talerze i pacjentce z zapaleniem nerek podała sznycel. Za drugim razem wywołałam wielką awanturę. Moja sąsiadka, diabetyczka, zapadała w śpiączkę. Zadzwoiłam po siostrę i poprosiłam ją o kostkę cukru. Dostało mi się za to. Nie chciała nic zrobić bez wiedzy doktora. Drogocenne sekundy uciekały, nie pozostało nam nic innego, tylko przesuwać wszystkie szafki. Znalazłyśmy dropsa.

Zanim siostra sprowadziła lekarza, kryzys został zażegnany. Tym razem wziął się za mnie pan doktor.

– Co pani sobie wyobraża, pani Jandova?! – sapał. – Niech się pani nie miesza do rzeczy, o których nie ma pani pojęcia!

Uznałam to za sprawiedliwy zarzut i przeprosiłam.

Nie przyjął tego do wiadomości. Przepłynął przez drzwi, nie udzieliwszy mi nawet rozgrzeszenia, a siostra, która je za nim zamknęła, rzuciła mi spojrzenie nasyconego wilkołaka.

Prawdziwy szok przeżyłam jednak trzy dni po operacji. Nagle wyrósł przede mną mundur.

– Pani Jandova? Kapitan Pesza.

Ze strachu nie mogłam wydusić z siebie słowa, ale on widocznie nie oczekiwał ode mnie żadnej odpowiedzi.

Przysunął sobie krzesło, usiadł na nim powoli i cicho mówił dalej.

– Dotarły do nas pewne informacje o pani.

Zrobił przerwę i zatrzymał na mnie wzrok.

– Pani mieszka w Żelarach, tak? Pani mąż pracuje w tartaku.

Koniec. Znaleźli mnie.

W uszach dźwięczy mi tupot skórzanych butów z cholewami. Ale Joza – nie! Joza o niczym nie wie! O mało nie wypowiedziałam tego na głos. Musiałam okropnie wyglądać, bo uspokajająco poklepał mnie po ręce.

– Niech się pani uspokoii.

To najlepszy sposób, żeby człowieka przestraszyć na śmierć – ze mną poszło mu łatwo.

– Dostaliśmy zgłoszenie, że w czasie operacji znaleziono na pani ciele ślady przemocy.

Widocznie miałam niezwykle idiotyczną minę, bo mówił dalej bardzo uprzejmie.

– Czy nie zechciałby nam pani opowiedzieć, co się stało? Bo... niech nam pani wierzy, że możemy pani pomóc.

Rozjaśniło mi się w głowie, a ulga wywołała taką reakcję, że zerwał się, żeby wezwać doktora.

– Nie, nie, panie kapitanie – zatrzymałam go zawczasu. – Proszę, niech pan usiądzie... Nie wiedziałam, że chodzi o moje siniaki i zadrapania...

– O pani podskórne wybroczyny i rany – poprawił stłumionym głosem, ale zdecydowanie.

Wysilałam swoją wyobraźnię, żeby wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę, bo prawdę uznałby za nędzne kłamstwo.

– Niech nam pani zaufa, pani Jandova. Co prawda nie musi się nam pani zwierzać ze swoich problemów, ale szczerze bym to pani doradzał. Nic pani nie grozi, niech się pani nie boi mówić.

– Ja się nie boję, panie kapitanie. – Widziałam, jak patrzy na moje drżące palce. Schowałam je pod koc. Ze zdenerwowania nic mi nie przychodziło do głowy. Przynajmniej będę zwięzła.

– Poślizgnęłam się i spadłam ze zbocza do potoku... Naprawdę. Nic więcej.

– Upiera się pani przy tym?

Chciał mi dać chwilę do namysłu, ale odpowiedziałam natychmiast.

– Tak.

– No dobrze, pani Jandova – powiedział ze smutkiem w głosie. – Ale gdyby kiedyś zmieniła pani zdanie... – położył przede mną wizytówkę – ...proszę się odezwać. Bez względu na porę dnia. Rozumie pani?

Uśmiechnął się do mnie ze współczuciem i z zakłopotaniem przejechał dłonią po siwej czuprynie.

– Rozumiem, panie kapitanie. Dziękuję.

Wstał i uściskał mi dłoń. Jeszcze się odwrócił od drzwi.

– Moja żona pochodzi z Želar, pani Jandova.

Nie mogłam się uspokoić jeszcze przez godzinę po tej wyczerpującej rozmowie.

Moje łóżko było potrzebne, więc piątego dnia zostałam wypisana. Jako podarek na drogę dostałam moje cztery kamienie żółciowe.

Tym razem wiozła mnie karetka.

Kiedy zobaczyłam Jozę – wyglądał mnie o godzinę drogi, albo i dwie, od naszej chałupy – rozplakałam się z radości.

Joza odebrał to jako skutek przeżytych strapiień i przywitał mnie rozpaczliwym uśmiechem.

– Tak się cieszę, że jestem znowu w domu, cieszę się tak, że aż chce mi się płakać, Jozo – zmiotłam jego zasmucenie.

Na stole w kuchni stało całe mnóstwo przysmaków i prezentów. Połowa wsi uznała moją operację za swoją sprawę i witała mnie jak krewną.

Od Ženi dostałam coś wyjątkowego, jak zawsze. Było to lustro na ścianę w ramce z koronki z drutu miedzianego.

Dalej płakałam, a w tym czasie mąż mościł mi legowisko z poduszek i piernatów. Pod nogami plątał mi się Azor razem z królikami.

Przez otwarte okno wpadało powietrze przesycone żywicą, które wywiało mi smród szpitala nie tylko z płuc, ale i z myśli.

Wieczorem zajrzała do nas Lucka. Ona też miała dla mnie prezent. Oprócz torebki ziół, których się spodziewałam, dostałam też nowe kierzpce.

O mało nie zemdlałam.



## 15.

Kiedy Joza wrócił z tartaku, siedziałam w kuchni przy oknie i patrzyłam na jabłoń, której liście zmieniały kolor i opadały. Gdy zawiął wiatr, za szybą unosiły się kolorowe strzępki.

Joza strugał dla mnie łyżkę. Pracował wolno, dokładnie i czysto. Liście jabłoni nie zdołały zatrzymać mojej uwagi. Odwróciłam się i obserwowałam jego pochyloną głowę.

Drewniany czerpak.

Moje błahe, cudowne, osiągalne życzenie.

Poszukiwacze skarbów popełniają fatalny błąd, że patrzą w dal. W dali wszystko znika.

Pomyślałam o naszej miłości.

Miłość jest najbardziej profanowanym słowem w ludzkim słowniku. Można nim nazwać właściwie wszystko. Wszelkie zachcianki, egoistyczne nawyki, zawiść w dowolnej odmianie, nawet nienawiść i arogancję.

Mój stosunek do Jozy zasłużył sobie na to, żeby się nad nim zastanowić.

Nie było dla niego nazwy. Przynajmniej niełatwo było ją znaleźć. Były w nim przyjaźń, czułość, współczucie, nawet strach i rozpacz.

Wszystko to tworzyło lity stop.

Kiedys myślałam, że coś podobnego istnieje pomiędzy mną i Richardem. Myliłam się jak dziecko. Dziś widzę, że Richard z zimną krwią manipulował moimi emocjami. I że swoje uczucia, jakże skąpo, wydzielał innym.

Każdy – kobieta czy mężczyzna – może spotkać w życiu kogoś, kto go będzie z różnych przyczyn pociągał i z kim mógłby – czasem przez jakiś czas, czasem dłużej – stworzyć parę.

Kiedy zobaczyłam przystojnego Jurigę, męskiego, a przy tym łagodnego, obudziło się we mnie wspomnienie dawnych oczarowań, ale nie miało to nic

wspólnego z marzeniem. Uciekłabym, gdybym usłyszała jedno słowo, dostrzegła jeden gest, który mógłby świadczyć o tym, że chce się do mnie zbliżyć.

Miałam Jozę.

Bez Jozy byłabym tworem niepełnym.

Moja przegrana, moje poddaństwo. Nie umiał rządzić i tym narzucił mi więzy.

Moje najgorsze ja podpowiadało mi, że za to powinien zostać poddany torturom.

Przynajmniej za te swoje powroty. Ledwie mój brudny, spocony mąż pojawiał się w progu, a już zaczynałam się cieszyć psią radością i musiałam się powściągać, żeby nie skakać na niego jak Azor i nie domagać się natychmiastowej uwagi. Pełne miłości spojrzenie Jozy za każdym razem rozlewało mi się żyłami po całym ciele jak łyk alkoholu.

– Jozo – powiedziałam ledwie dosłyszalnie.

Przerwał pracę i podniósł głowę.

– Popatrz na te liście.

Odłożył łyżkę i usiadł obok mnie.

Liście krążyły tylko dla nas dwojga.

Patrzyliśmy na nie dobrą godzinę.

## 16.

Lustro od Żeni powiesiłam pomiędzy oknami. Każdy, kto wchodził do pokoju, musiał się w nim zobaczyć.

Materiał na to cudo nie wart był funta kłaków.

Odwieczna tajemnica twórczości.

W Żelarach zachowało się coś, co gdzie indziej już dawno zniknęło. Noszono tu wysokie filcowe wyszywane buty, ręcznie szyte kozuchy i

baranice, pracowały tu hafciarki, wyplatacze, garncarze, po okolicy wędrowali druciarze, garbarze, szmaciarze, szklarze.

Na wieś składało się kilka wspierających się nawzajem klanów.

Jedyną osobą, która nie należała do żadnego z nich, a jednocześnie należała do wszystkich, była Lucka Vojniczova.

Do górskich chałup, do których żandarmi nigdy nie zapuszczali się w pojedynkę i mogli dziękować Bogu, jeśli nie dostali tam nożem między żebra, Lucka wchodziła bez obaw i oczywiście bez zaproszenia, a w odróżnieniu od żandarmów zawsze osiągała to, co chciała. Wielu ludziom pomogła, niektórym uratowała życie. Ceremonii podziękowań poddawała się niechętnie, a więc nikt jej nie dziękował. Tak naprawdę nikt jej nie lubił.

W krainie, gdzie wszyscy wierzyli w cuda i czary, Lucka była siłą, której należało się bać.

Z nikim się nie patyczkowała. Wulgarność była immanentną cechą jej osobowości.

W jej słowniku człowiek ze smarka i gnoja mógł się przerodzić – przez flejtucha, niedojdę, śmierdziela lub huncwota – w wałkonía, dziopę, kocmołucha, pijanicę i kurwiarza. Czasem – rzadko – nazywała kogoś łagodnym słowem „dureń”. Ja dla niej bywałam Hanulką albo dziewczyną. Za każdym razem wprowadzało mnie to w ekstazę (daremnie się przed tym broniłam).

Byłam lekarką, więc wiele razy dane mi było patrzeć na umieranie. Na te chwile miałam gotowe swoje własne mury obronne. Nigdy jednak nie znalazłam w sobie tyle zimnej krwi, tyle niewzruszoności czy obojętności, co żelarska zielarka.

Nawet trochę to rozumiałam. Powszechną rozrywką były tu bijatyki, a największą popularnością cieszyły się sobotnie jatki w karczmie u Latała. Tam przepijano zarobki. Po szaleńczych rozróbach pozostawały zakrwawione ławy i połamane krzesła. Pracownicy warsztatu stolarskiego w tartaku, gdzie pracował mój mąż, zawsze mieli pełne ręce roboty.

Już pięcioletni chłopcy umieli posługiwać się nożem. Kłusownicza strzelba była w każdej chałupie.

W ferworze walki chłopci rzadko odnosili poważniejsze obrażenia, jeśli nie liczyć takich drobiazgów jak powybijane zęby czy pęknięta szczęka. Ale mimo wszystko czasami dochodziło do tragedii.

Niedługo po moim przybyciu do wsi ktoś zabił kuflem szesnastoletniego chłopca. W karczmie pojawili się czterej żandarmi, ale i tak cała sprawa się rozmyła. Stwierdzono, że w czasie, kiedy zdarzyło się to nieszczęście, wszyscy byli pijani w sztok.

Pokieroszowane opoje dla Lucki nie istniały. Rannymi z karczmy zajmował się Czerwony Krzyż – grupa pełnych poświęcenia kobiet pod przewodnictwem żony księgowego z tartaku, który upijai się regularnie, raz na kwartał.

## 17.

Kilka razy w roku do karczmy Latała zjeżdżali się mieszkańcy odległych wsi. Oprócz różnych odpustowych zabaw przyciągały ich potańcówki i wesela.

Joza wziął mnie raz na taką zabawę. Nawet się cieszyłam. Na tańce, piosenki, stroje ludowe z bliższych i dalszych okolic. Jednak przed karczmą opadły mnie wątpliwości. Przez otwarte drzwi waliły się na mnie szalone rytmy zwyrtanego, jak nazywał się ten żywiołowy miejscowy taniec. Cymbały, skrzypce, a do tego przytupy podkutych butów.

Weszliśmy do środka, a to, co tam ujrzałam, to była istna Afryka.

Już od progu wiedziałam, że dziesięć minut zwyrtanego wykończyłoby mnie na amen.

Wcisnęliśmy się na ławę pod ścianą, pomiędzy widzów – czyli zgrzybiałych starców i staruszki, których udział w zabawie polegał na przytupywaniu, poklaskiwaniu i wznoszeniu różnych okrzyków.

Oblizalam wyschnięte wargi – a Joza już się przedzierał przez tłum po wodę sodową.

Mimo że się kuliałam i starałam się nie przyciągać niczyjej uwagi, wypatrzył mnie jakiś odstrojony na ludowo młodzian. Położył mi rękę na ramieniu, co było uprzejmym zaproszeniem do tańca. Zazwyczaj wystarczało skinąć ręką albo gwizdnąć.

Odmową śmiertelnie bym go uraziła.

Rozpaczliwie wypatrywałam swojego męża, ale zanim zdobyłam się na jakieś słowo albo gest protestu, tancerz wciągnął mnie w sam środek tańczącego tłumu. Spociłam się, zanim jeszcze zaczęliśmy tańczyć, bo chłopak przez chwilę przytupywał w rytm melodii, obejmując mnie przy tym w pasie.

Potem zaczął wirować.

Wszystkie moje starania, które w kilka minut pozbawiły mnie tchu, polegały na tym, żeby nie deptać mu po nogach, aż w końcu podniósł mnie w górę i zakołował mną, jakbym była szmacianą lalką. Wtedy dla odmiany kopałam go czubkami butów po голениach.

Uznałam, że muszę go przeprosić.

– Przepraszam, ja nie znam tych tańców. – Znowu nadepnęłam mu na nogę. – Przepraszam, ciągle depczę panu po nogach.

Uśmiechnął się szeroko i życzliwie.

– Daj se spokój, dziewucho, ja też jestem wypity!

Kiedy kawałek się skończył i tancerz prowadził mnie z powrotem na miejsce, musiał mnie mocno trzymać. Leciłam mu przez ręce. Ze zdziwieniem popatrzył na Jozę.

– Nie wiedziałem, że jest twoja – usprawiedliwił się i walnął mojego męża po plecach, jakby mu dziękował za zaszczyt, który mu okazałam tym, że zmasakrowałam jego wybłyszczony buty.

Lemoniadę wypiałam duszkiem.

Muzyka znowu zaczęła grać, tym razem przedzierał się przez nią wspaniały tenor przysadzistego górala, którego nazywali Manek-z-Brzuchem. Syn starego Manka, dawnego gospodarza z naszej chałupy. Przezwisko zyskał tym, że kiedy gonił do pracy swoją ciężarną żonę, Lucka go zgromiła: Kto chodzi z brzuchem – ty czy Pepina?

Bałam się, jakie przezwisko dostanie się mnie, ale bogowie byli dla mnie miłosierni. Ludzie zaczęli na mnie mówić Hanulka Jozy.

Mojego ramienia znowu dotknęła czyjaś ręka.

Joza zmiotł ją bez słowa. Wstrzymałam dech. Jeszcze sekunda i zacznie się bijatyka.

Nie zaczęła się. Odrzucony kawaler jeszcze nie miał porządku w czubie i mógł ocenić swoje szanse. Chwycił za rękę jakąś wystrojoną dziewczynę i porwał ją w szaleńcze obroty.

Poprosiłam Jozę, żebyśmy już wracali.

Po drodze (trzymałam go za rękę) czułam, jak bardzo jest mu przykro, że się nie bawiłam.

Szliśmy w milczeniu przez zimną noc, policzkowani przez wiatr. Towarzyszył nam rytm tańca i słowa jednej z piosenek:

*Kędy idę sama*

*– góry i wądoły,*

*kędy ze mną miły*

*– droga malowana.*

Głos rzeki, szumiące gałęzie, pulsujące niebo, wszystko mieszało się w tej natrętnej melodii. Do oczu cisnęły mi się łzy.

Wcale nie od wiatru.

– U Jurigów jeszcze się świeci – powiedział Joza. – Chcesz zajrzeć do cielaka?

Skinęłam głową i zboczyliśmy z drogi.

## **18.**

Na zabawy już więcej nie chodziliśmy, ale nie opuściliśmy żadnego przedstawienia teatralnego. W Żelarach działał słynny zespół artystyczny

Kierował nim Honza zwany Błaznem – żelarski krajan i nauczyciel pomocniczy w tutejszej szkole, obdarzony przez Boga niezwykłym talentem. Reżyser, aktor i organizator. Potrafił skupić wokół siebie grupę zapaleńców i obrotnych współpracowników. Jednym z nich był Joza. Budował i ustawiał kulisy, brzęczał za sceną łańcuchem, od czasu do czasu mignął też na scenie w roli sługi albo zbrojnego.

Nieocenioną pomocą dla Błazna była Żenia. Scenografia, kostiumy, charakteryzacja – to wszystko było na jej głowie. Ze starych rupieci – kolorowych skrawków materiału, chustek, wstążek, papieru, tektury, pudełek, skrzynek, desek i słomy – umiała wyczarować królewskie pałace, czeluście piekielne, wiejskie chaty. Byli też i świetni aktorzy. Spośród nich wybijały się dwa znakomite głosy: głos Manka-z-Brzuchem oraz Hedviczki Vlkoszovej, żony Honzy.

Najczęściej wystawiane były bajki. Przenosiły one górali w krainę ich skrytych, niespełnionych snów. Nie znałam ich, miały miejscowy rodowód. Honza przerabiał je na dramaty, włączał też do nich miejscowe pieśni. Największe wrażenie zrobiła na mnie bajka o Jesieńce. Była to niezwykła historia. Służka Jesieńka została poddana trzem próbom. Z żadnej z nich nie wyszła obronną ręką, nie wykonała żadnego zadania.

Za pierwszym razem pani zabroniła jej wychodzić z domu. Jesieńka złamała ten zakaz, wybiegła na podwórko, żeby ratować pisklę, które wypadło z gniazda. Za drugim razem nie wolno jej było odstawić na ziemię garnka z miodem, ale zrobiła to, żeby pospieszyć na pomoc tonącemu. Za trzecim i ostatnim razem złamała nakaz milczenia, by powiedzieć prawdę i obnażyć czyjeś podłe kłamstwo.

Pani odprawiła ją ze służby, a jako szyderczą zapłatę wręczyła jej kosz pełen jesiennych liści. Jesieńka pokornie wróciła do domu rodzinnego i postawiła swoją zapłatę na progu. Rzuciła się matce w objęcia i się rozplakała.

Na powitanie zbiegły się wszystkie sąsiadki. Jedna z nich sięgnęła do kosza, a zamiast liści wyjęła zeń garść złota.

Bajka kończyła się pytaniem zadziwionej Jesieńki: Ale za co to, mamó, za co?

Panią z bajki grała żelarska piękność, bogata właścicielka tartaku, siostra Żeni, Jitka. Grała kiepsko, ale wyglądała fantastycznie. W każdej

sztuce Honza musiał jej przydzielić rolę odpowiadającą jej pozycji i urodzie. Tartak bowiem był szczodrym mecenasem kółka teatralnego.

Rzecz jasna Jitka miała najpiękniejszy strój. Nie był zesztukowany z okrawków naznoszonych przez góralskie krawcowe – uszyto go według projektu Żeni w luksusowym salonie krawieckim w Szadovej Hucie. Zapłaciła za niego sama Jitka. W scenach, w których występowała, przemierzała scenę posuwistym krokiem, i to był jedyny pozytywny aspekt jej kreacji aktorskiej. Swoje kwestie wygłaszała w sposób afektowany, a Honza dostawał białej gorączki. Skracał jej teksty, a rolę budował na jej zjawiskowym wyglądzie. Dzięki temu zawsze nagradzano ją owacjami.

Gdyby miała chociaż troszkę talentu, ubolewał Błazen, mogłaby być z niej druga Andula Sedláčková.

Siedzieliśmy z Jozą pod ścianą w przepelnionej sali, skąd mogłam obserwować nie tylko scenę, ale i widownię. Widziałam, jak żelarski reżyser bez reszty panuje nad widzami. Śmieli się, płakali, z przejęcia wstępował im rumieniec na policzki, wstrzymywali oddech, zaciskali pięści.

Wzruszyć ich, huczało mi w głowie, tylko ich wzruszyć, a będą twoi. Jakie to łatwe.

Ale codzienna ponura rzeczywistość przekonywała mnie, jakie to trudne.

Widzowie z pogranicznych ostępów bywali niedomyci i śmierdzieli albo mieli wszy. Kobiety albo nie mogły unieść ciężaru obowiązków, albo było im wszystko jedno.

Często rozmawiałam o tym z mężem, a w czasie tych rozmów wyciągałam z niego skrywane szczegóły z jego dzieciństwa. Zbierałam skąpe zwierzenia, aż przed oczyma stanęła mi cała ta kalwaria, którą przeszedł jako nieślubne dziecko służącej z majątku.

– Nie oddawaj im – mawiała mama. – Jesteś silny, mógłbyś kogoś skrzywdzić.

A on jej posłuchał. Ukrywał siniaki i rany i nigdy się nie skarżył.

Wszystko przyjmował jako swój los.

Tak wyglądała rzeczywistość, którą tak poetycko opisywał mi na szpitalnym łóżku. Jedno w jego wspomnieniach było z pewnością prawdziwe. Postać Metodiejki Jandovej, jego potulnej, kochającej matki. Wszystkie



księżniczki i rusalki z jego bajek miały szaroniebieskie błyszczące oczy i bujne kasztanowe włosy.

Joza był mężczyzną, i to niepięknym. Ale odziedziczył te oczy i włosy.

Zysk z przedstawień Honza przeznaczal dla dzieci. Jeździł z nimi do różnych miast, gdzie po raz pierwszy w życiu zobaczyły tramwaje i wysokie domy. Niektóre z nich nigdy przedtem nie jechały pociągiem. Na szyi miały zawieszoną kartkę z nazwą rodzinnej wsi, miejscem i godziną spotkania przed odjazdem do domu. Wśród nieznanых ulic zazwyczaj się gubiły, a do pociągu sprowadzali je strażnicy miejscy. W czasie tych wycieczek razem z Jozą pomagaliśmy pilnować dzieci, ale i tak kilkoro z nich zawsze się zgubiło.

Odwiedziny w Brnie były dla mnie niesamowitym przeżyciem. Miasto, w którym spędziłam całe życie, sprawiało na mnie wrażenie pułapki. Na murach widziałam krwawe płachty ogłoszeń. Czekala tu na mnie moja przeszłość.

Grobowa cisza wieczornych ulic. Ośleple okna. Schrony. Przedsiónek doskonale zorganizowanego piekła, w którym na ołtarzu pozbawionym boga królowala swastyka.

Rozglądałam się wokół i uświadomiłam sobie, że większość przechodniów, którzy mnie mijali, nie zdaje sobie sprawy z tego (tak samo jak ja kiedyś), że żyją z wyrokiem śmierci.

I jeszcze jedno do mnie dotarło. Że nie chcę tu wrócić. Swoje życie przeżyję z Jozą. Gdybym się z nim nie spotkala, babciu, nigdy nie rozumiałabym tajemnicy starych małżonków, którzy przeżyli ze sobą całe życie i idą ramię w ramię drogą, na której końcu czeka ich wspólny grób.

Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie przejść koło szpitala.

Chustkę naciągnęłam tak, żeby zasłaniała mi całą twarz.

Mogłam się utrzymać na nogach tylko dzięki temu, że Joza mocno mnie podtrzymywał.

Nie odważyłam się pójść pod uniwersytecką burse.

Z wycieczki do rodzinnego miasta przywiozłam też, oprócz kilkudniowego wytrącenia z równowagi, ostatni dowcip polityczny: Czeska kobieta jest szczęśliwa, że jest kobietą. Niemiecka kobieta jeszcze nie wie, że jest kobietą.

Daleko na wschodzie skończyła się bitwa o Stalingrad.

## 19.

W Żelarach wypiękniałam, i zawdzięczałam to Żeni. Kiedy tylko podrosły mi trochę włosy, ułożyła mi je w taki przemyślny sposób, że okalały mi miękko twarz, a z tyłu ściągnięte były w węzeł, ozdobiony żelaznym, jakby koronkowym grzebieniem. Nie był to prawdziwy grzebień, w rzeczywistości była to klamra, która utrzymywała uczesanie w ryzach. Dużo się musiałam natrudzić, zanim nauczyłam się czesać sama tak, że spojrzenie w lustro sprawiało mi radość. Schlebiały mi także spojrzenia żelarskich mężczyzn.

Nie mogę powiedzieć, żeby pomiędzy mną i Żenią zawiązała się przyjaźń, chociaż często się odwiedzałyśmy i prawdę mówiąc, ciągle potrzebowałam jej rady i pomocy. Jedno i drugie dawała mi chętnie, ale unikała rozmów na tematy osobiste. Wiedziałam, że jest wdową i że Jirzinka jest jej pasierbicą. Wdowy miały tu ciężkie życie. Zazwyczaj starały się ponownie wyjść za mąż, ale w grę mógł wchodzić tylko wdowiec, który potrzebował gospodyni.

Fantazja stale wyprzedzała jej zwinne ręce. Żenia pędziła za swoją wizją jak w gorączce. Nigdy nie widziałam, żeby siedziała beczynnie. Kiedy wieczorami przesiadywaliśmy u niej z Jozą i z Lucką, bo z jej chałupy rozciągał się bajkowy widok, odpoczywała, wpatrując się w milczeniu w przestrzeń i podzwaniając drutami do robótek.

Lucka żywiła do niej szczególne uczucia, jakie nie wiązały jej z nikim innym. Podobno jeszcze od dzieciństwa.

U Żeni czasami spotykałam się z doktorem Beniczkiem. Przychodził do bledziutkiej Jirzinki, dziecka gruźliczki, która zmarła przy porodzie. Chuchał na nią i dmuchał. Zdrowie Jirzinki było dla niego kwestią jego honoru zawodowego.

Oprócz tego lekarz przyjaźnił się z Lucką. Nie krył, że wiele się od niej nauczył.

Na łączce Pazdery gości częstowano tylko bezmięsnymi potrawami – Żenia była wegetarianką. Uchodziło to za dziwactwo, ale ona nie przejmowała się tym, co kto o niej myśli, i to był prawdopodobnie klucz do jej relacji z Lucką. Tak samo jak ona szła swoją własną drogą, a jedyną reakcją na naciski z różnych stron był ten jej uśmiech z dołeczkami w policzkach.

Bez słowa poddawała się niepisanym prawom swojej ziemi, ale przyjmowała je tak samo jak wiatr, który rozwiewa jej włosy.

Zastanawiałam się, co się kryje za tym uśmiechem z dołeczkami w policzkach. Prowokowała mnie, bo była tajemnicza, chociaż niczego nie ukrywała.

Pogodziłam się z tym, że nie daje sobą manipulować.

Zbijało mnie to z tropu i irytowało. Nie podobało mi się, że nigdy nie mówi, co myśli, że nigdy nie wyraża żadnych swoich poglądów, choć wszystko, co robi, jest ich wyrazem, a robi to konsekwentnie i – dla większości swoich znajomych (nie wyłączając mnie) – nieoczekiwanie.

Miałam nieprzyjemne wrażenie, że jestem od niej zależna.

Zauważyłam na półce – podobnej do tej naszej – parę książek.

– Mogę spojrzeć?

– Oczywiście.

Wyciągnęłam potężny tom *Życia zwierząt* Brehma, położyłam go na stole i zaczęłam kartkować. Książka była stara i zniszczona.

– Znalazłam ją w szkole na strychu – poinformowała mnie Żenia.

– Aha!

Przeglądałam znajome obrazki.

– Ja też ją mam, dostałam ją od babci.

Miałam wrażenie, że tymi dwoma zdaniem powiedziałyśmy sobie dużo.

Czekało nas jeszcze więcej.

Na stół wskoczyła bielutka kotka. Kiedy przewracałam kartkę, przejechała po niej pazurkiem. Kruchy papier się rozdarł.

– Przepraszam.

– To nic, to się da naprawić. – Żenia stała przy kuchni odwrócona do mnie plecami, mogła tylko usłyszeć, co się stało.

Kotka znowu wyciągnęła łapkę w stronę zbezczeszczonej kartki, a kiedy ją po niej pacnęłam, usiadła i zaczęła ją sobie lizać, jakby nigdy nic.

Chwyciłam ją za skórę na karku i chciałam zrzucić na ziemię.

Wywinęła mi się i nastawiła grzbiet w oczekiwaniu na pieszczoty.

Żenia właśnie odwróciła się od kuchni.

Moja ręka – sama z siebie – posłusznie pogłaskała kota.

To się nazywa: chwila utraty kontroli nad sobą.

Natychmiast się za to zgaśniłam.

Kiedy Śnieżynka wciskała mi się pod rękę, jej pani zdjęła z półki drewnianą skrzynkę, odchyliła wieczko, małym pędzelkiem nałożyła na papier trochę kleju, wygładziła rozdarte miejsce i przycisnęła je garnuszkiem.

Trwało to może dwie minuty.

– Piękny koszyczek – rzuciłam. Staralam się gadaniem przesłonić fakt, że ciągle przejeżdżam dłonią po jedwabistej sierści, która mi strzela pod palcami.

Nie oczekiwałam żadnej odpowiedzi. Może tylko dwóch dołeczków.

Ale Żenia – wbrew swoim zwyczajom – chciała coś powiedzieć. Możliwe, że długo ją to gryzło, aż w końcu musiała się komuś zwierzyć. Albo po prostu upatrzyła mnie sobie. W każdym razie zgotowała mi prawdziwą niespodziankę.

Znowu sięgnęła na półkę.

Żurnal, który przede mną otworzyła, pochodził prawdopodobnie z czasów, kiedy pracowała w Szadovej Hucie.

– Popatrz!

Kolekcja drogich futer.

Głaskałam kotkę i zachodziłam w głowę, o co chodzi. W oczach miałam znak zapytania.

Chyba zawiódłam zaufanie, które mi tak lekkomyślnie okazała.

– Futro na zwierzęciu jest piękne – z trudem formułowała wyjaśnienie i rzuciła okiem na Śnieżynkę. – A tutaj – dotknęła palcem zdjęcia – na człowieku jest tylko nędzną padliną. – Wzruszyła ramionami. – Żeby nie wiem jak się krawiec starał. Widzisz to?

Olśniło mnie. Przed dwoma laty kupiłam sobie padlinę. Rany boskie!

Te nieomyślne oczy Żeni!

Teraz i ja to widzę!

## 20.

Pewnego razu, kiedy Joza z dwoma pomocnikami pracował w tartaku, jeden z nich przeciął mu rękę aż do kości. Rana silnie krwawiła. Lipka zaciskał ją palcami obu rąk, aż do czasu, kiedy przyszła Lucka i ściągnęła jej brzegi dwoma kołkami do bielizny. Jozę załadowali do ciężarówki i zawieźli do doktora. Po drodze wstąpili po mnie.

Zauważyłam, że Lipka trzyma mnie za plecami za rękę, myślał, że zemdleję. W podskakującym aucie obejrzałam ranę, prostowałam i zginałam palce, sprawdziłam jakość tymczasowego opatrunku. W oczach Lucki pojawiła się iskra radości.

– Piękne, czyste cięcie – wygłosiła pochwałę. O mięśniach Jozy wyrażała się jak o porcji wołowiny.

W gabinecie Beniczka przyjęła nas siostra, lekarz miał wrócić za godzinę.

– Sama to zszyję – postanowiłam.

Siostra nie chciała o tym słyszeć.

– Nie gadaj tyle, tylko bierz się do roboty – zgromiła ją Lucka. Iskry w jej oczach nie wiedzieć czemu przywiodły mi na myśl sztuczne ognie na choince. Siostra położyła uszy po sobie.

Kiedy szłam ranę, wpatrywały się we mnie dwie pary oczu. Jedna z nich śmiertelnie przerażona.

Wracaliśmy tym samym samochodem.

Nareszcie była pora, żeby wypytać, co się stało. Joza pobił się z dwoma huncwotami, którzy łapali myszy i dla zabawy obdzierali je ze skóry.

Z oboma spotkałam się jeszcze tego samego dnia, bo samochód trzeba było odstawić do tartaku. Poprosiłam Lipkę, żeby mi pokazał tego, który ugodził Jozę. Stałam przed nim i w milczeniu patrzyłam mu prosto w oczy, może minutę, aż odwrócił wzrok.

– Uderzył mnie w szczękę – krzyknął ze złością, bo poniżyło go moje milczenie i milczenie tych, którzy stali wokół. – Mysia niańka! – parsknął wyzwiskiem.

– Jeśli ci przestawił szczękę, ta ja ci ją naprostuję – powiedziałam lodowatym głosem, chociaż w środku we mnie wrzało, a ponieważ lawa musiała znaleźć ujście, trzasnęłam go z całej siły w twarz, aż nogi się pod nim ugięły i podparł się rękoma o podłogę.

W tej samej chwili przede mnie wysunął się Lipka z nożem w ręce.

Chłopak tylko cmoknął zaślinionymi wargami i wycofał się.

Lucka wykrzyknęła z radości.

– Coś ty za jedna? – zapytała mnie w drodze powrotnej. Walnęła mnie przy tym z uznaniem w plecy, aż mi zabrakło tchu.

– Jestem lekarką, ukrywam się, pani Wojniczova.

W rozjarzonych oczach Lucki miotał się śmiech, jak motyl w sieci. Odprowadziła mnie do chałupy Manka i pozwoliła zaprosić się na śliwownicę. Kiedy wypięła, stwierdziła, jakbyśmy to wcześniej uzgodniły:

– Będiesz ze mną chodzić do porodów.

I tak zostałam asystentką Lucki. Z jej pochodzącego z praktyki doświadczenia nauczyłam się więcej, niż wyniosłam z uniwersytetu i krótkiego stażu na porodówce.

Poznawałam życie od najbardziej surowej strony. Mimo moich protestów niektóre żelarskie kobiety po porodzie od razu były gonione do pracy (nie mogłam zrozumieć obojętnej postawy Lucki w tej kwestii). Najmniej współczuły im teściowe i zawsze stawiały siebie za przykład.

Do pewnego stopnia z cynizmem Lucki udało mi się pogodzić. Był on kamiennym jądrem jej wewnętrznej równowagi, a być może również jej mądrości.

Nie dostawałyśmy pieniędzy. Biedacy częstowali nas śliwowicą, którą po jednym łyku czułam aż w palcach u nóg, od bogatych wynosiłyśmy dary – domową wędzonkę, jaja, słoninę, masło, wielkie kołaczki z owocami.

Moje wykształcenie nie miało żadnego znaczenia. Dopiero tutaj pobierałam niezbędne lekcje. Widziałam niemal puste chałupy, przepite przez jakiegoś tępego dręczyciela, niedożywione, poobijane dzieci, przygięte do ziemi stare kobiety, ale też zaharowanych mężczyzn – ofiary kobiecego nienasycenia i zachłanności. Spotykałam się z przerażającym zacofaniem, zwyrodniałym egoizmem, bezmyślną chciwością – ale też z anielską pokorą, cierpliwością, bohaterstwem i miłością.

Świat ludzkiej duszy, razem z jej dwoma biegunami, które nigdy nie będą do siebie przystawać, obracał się tu jak młyńskie koło.

– Dlaczego wśród ludzi jest tyle zła! – westchnęłam. Nie było to pytanie.

Ale Lucka odpowiedziała.

– Bo nie umieją żyć.

To stwierdzenie rozjątrzyło mnie i zbiło z tropu. Zastanawiałam się nad nim, jakby było kryptogramem.

A ja? Czy umiem żyć?

Do domu starej Vankovej weszłyśmy, kiedy już umierała. Siedział przy niej żelarski ksiądz. Trzymał jej stygnące ręce w swoich, zdejmował z nich ziemski ciężar, cicho wypowiadał słowa, które przenosiły skruszoną duszę cicho i bezpiecznie na drugi brzeg. Udręczona góralka uśmiechała się.

Pijany Vaniek leżał w sieni. Lucka przesunęła go kopniakiem, bo zagradzał jej drogę.

Zawsze kiedy do górskich siedzib zawitała ciężka choroba albo śmierć, proboszcz bez wahania ubierał się w środku nocy i wspinał po stromych zboczach, gdzie nie było już żadnych dróg.

Wzywali go też i niekatolicy. Jego obecność koła, uspokajała, wyganiała biesy. Ewangelicki pastor nie miał tej mocy.

Lucka tak samo jak ja była niewierząca. Mimo to pomiędzy nią i księdzem istniały niezniszczalne więzy. Spotykali się przy łózkach chorych jak przy ołtarzu.

Stara jędza i ksiądz prowadzili często długie, niewiarygodne rozmowy. Rozumieli się doskonale, chociaż każde z nich mówiło innym językiem.

W czasie świąt ja też chodziłam z Jozą do kościoła. On z pobożności, mnie przyciągały kazania. Ksiądz mówił jasno, zrozumiale, odsłaniał tajemnice Ewangelii tak, jakby ściągał z obrazu zasłonę.

Biblia była dla niego nakazem czynu.

Górale grzeszyli tak jak wszędzie, łamali wszystkie boskie przykazania, występki gonił występki.

Ale w nieszczęściu padali na kolana i błagali o miłosierdzie.

Rytuały i modlitwy, które weszły w nawyk, były dla nich oparciem w życiu. W pogańskim bałwochwalstwie gromadzili symbole, posążki, obrazy, różańce i zwracali się do nich z pełnym zaufaniem i lękiem, często z ostatnią nadzieją.

Ksiądz to rozumiał.

Do ludzkich słabości podchodził z życzliwym współczuciem, jakby miara własnych grzechów nie pozwalała mu przyjąć pozycji szafarza kar.

Patrzyłam na niego osłupiała. Na tego pocieszyciela i pasterza, pozornie bezbronnego. Widziałam, jak przeciwko bólowi i śmierci stawia siłę wybaczącej wszystko miłości, w którą nie wierzyłam.

Aż do tej pory zawsze kojarzyła mi się z mamrotaniem pod nosem pustych fraz. Nie podejrzewałam, że jest żywa, że czyni cuda.

W innym miejscu niż Żelary ksiądz, który z apostolską prostotą nazywał rzeczy po imieniu, dawno trafiłby do obozu koncentracyjnego albo zostałby poddany ekskomunice, w zależności od tego, która siła dopadłaby go pierwsza.

Niekiedy się zdarza – tak nas uczy historia – że głosiciele wzniosłych, lecz trudnych zasad (czasami) i ich epigoni (zawsze) zostawiają dla siebie drogę ratunku w postaci sytuacji „wyjątkowej”. Ale żelarski ksiądz żył według zasad, które głosił.

Z oszałamiającą prostotą.



Daremnie szukałam w sobie źródła, z którego mogłoby wytrysnąć coś podobnego. Słowa księdza miały też niedwuznaczną wymowę polityczną. Głosił donośnie i bez oporów to, co gdzie indziej tylko szeptano, oglądając się ukradkiem za siebie.

Przez granice płynęły wiadomości, że w lasach pojawili się partyzanci, do których przyłączali się co bardziej porywczy młodzieńcy.

Chodziły słuchy, że w Przełęczy Dukielskiej walczy z Niemcami samodzielna czechosłowacka brygada. Przez Protektorat Böhmen und Mähren przewaliła się lawina egzekucji.

## 21.

Dla Jozy nasze małżeństwo było takim samym przełomem, jak dla mnie. Musiał oswoić się z sytuacją żonatego mężczyzny, który już nie mieszka w darowanej mu z łaski komórce dla kóz, lecz we własnym domu.

W górskiej wsi pojawił się nagi i bosy.

Miejscowe dzieciaki wołały na niego „wujku”, i musiało go to doprowadzać do rozpacz.

Tak jak inni miał jakieś marzenia, ale na pewno w żadnym z nich nie odważył się śnić o tym, co przyniósł mu przypadek. A co było przeznaczone dla jakiegoś księcia.

Podczas słotnych wieczorów, kiedy deszcz albo przejmujący wiatr nie pozwalały nam na włączkę, siedzieliśmy pod lampą naftową i oboje coś tam sobie dłubaliśmy. Najczęściej w milczeniu; wystarczało nam, że jesteśmy razem, a jeśli odczuwaliśmy potrzebę słów, to dobry nastrój podsycaliśmy zwariowanym dialogiem. Niezapomnianymi żartami. Moją najdroższą relikwią.

Zaczynałam ja.

– No więc, wydaje mi się, Jozo, że ci obetnę ucho. Masz przecież dwa, ta symetria mnie denerwuje.

– Obetnij – odpowiadał równie spokojnie jak ja, nawet nie podnosząc głowy znad pracy.

– Teraz cię przejrzałam. Chcesz mi oszpecić męża. Za to cię uduszę.

– Uduś – zgadzał się.

– Mnie nie sprowokujesz. Jeśli chcesz być uduszony, uduś się sam. Ale weź pod uwagę, że cię za to zastrzele.

– Dobrze mi tak. Już mi się znudziło chodzić po trawę dla twoich królików.

– W nocy zrobimy skok na pocztę w Szadovej Hucie. Rozejrzę się za czarną pończochą.

– Wystarczy zwykła, w nocy jest ciemno.

– Czekaj, Jozo, a co, jak poczta będzie zamknięta? Nie mamy kluczy... Rany boskie, coś mi kipi na kuchni! Wbijaj gwóźdź w futrynę. Jeśli przypalę kolację, to się powieszę.

– Gwóźdź już tam jest, od poprzedniego razu.

Orgie niczym niepowstrzymanego gadania miały dla nas jeszcze jeden wymiar. Zbliżaliśmy się przez to do siebie aż do granic możliwości.

Ja i Slavek należeliśmy do środowiska, które żartem słownym nadało określoną formę. Joza mnie zaskoczył, że tak szybko podchwycił tę grę.

Nie przepuściłam żadnej okazji, żeby objąć Jozę za szyję. Wystarczyło, by mnie przygarnął, przycisnął swoje czoło do mojego i powiedział: Hanulko. W tych moich dziecinnych odruchach najdziwniejsze było to, że chodziło przecież o mojego męża.

Na odpuście kazałam fotografowi zrobić Jozie zdjęcie. Z czystego sentymentalizmu. Tak na nim wytrzeszczał oczy, jakby patrzył nie w obiektyw, ale w twarz Meduzy.

Jego portret był dowodem na to, jak bardzo człowiek może być niepodobny do samego siebie. Mimo to kosztował pięć koron.

Wyrzuciłam go do parowu.

## 22.

Kiedy już wspieiliśmy się bardzo wysoko, aż do skalnych rozpadlin w miejscach nietkniętych dotąd ludzką stopą, pod ciemną powłoką ledwie wyczuwaliśmy ziemię. Nie mieliśmy domu, nie mieliśmy imion. Mieliśmy tylko przejmujący lęk i ciszę, szeleszczącą i targaną wiatrem jak zetlałe płótno. Na przejrzystych wysokościach przeżyłam chwilę, która nie da się porównać z niczym, czego do tej pory doświadczyłam.

Pod nami była zielona przepaść, nad nami już tylko niebo. Z góry widzieliśmy gniazda drapieżnych ptaków, w których coś się kłębiło, od dołu wspinały się do nas koniuszki gałęzi porośnięte nieśmiałą wiosenną zielenią.

Nie miewam zawrotów głowy. Podeszłam na skraj przepaści.

Zieloność falowała mi przed oczyma.

Objęłam Jozę w pasie, a on wziął mnie w ramiona. I tak staliśmy, dopóki wszystko nie zniknęło i dopóki nie zostaliśmy sami.

Pomiędzy niebem a ziemią.

To, co nas utrzymywało w równowadze, nie ma nazwy. Zamarliśmy w jakimś kataleptycznym stanie. Przestałam dostrzegać, co nas otacza.

Wszechświat wyglądał jak otwarta brama.

A potem – stało się to. Trwało sekundę, może ułamek sekundy, to bez znaczenia. Ja, która nie wierzę w żadnych bogów i w żadne demony, poczułam obecność molocha. Otaczał nas ze wszystkich stron, połykał nas, byliśmy jego ofiarą.

Pokonać go – oznaczałoby zaprzeczyć jego istnieniu.

Szukałam magicznych zaklęć i wyteżałam wszystkie swoje wewnętrzne siły. Jestem tytanem, gotowym na śmierć, ale się nie poddam.

Moja wola toczyła swoją największą walkę.

A potem pojawiły się znowu postukujące o siebie gałęzie. Leżałam na ziemi z twarzą w ramionach Jozy, a po przyspieszonym rytmie jego pulsu

domyśliłam się, jak strasznie muszę wyglądać. Uniosłam głowę. Ujrzałam zieloną przepaść, bezchmurne niebo i to, jak wbijam paznokcie w jego skórę.

– Zakreśliło ci się w głowie, Hanulko.

Ocknęłam się i wróciłam do rzeczywistości na tyle, że uprzytomniłam sobie, co się stało.

Próbowałam wymazać czas.

Jak świat światem wszystko lgnie do piękna.

Uznać jego magiczną moc za bezwstydną kłamstwo jest ponad ludzkie siły. Trudno uwierzyć, że pociągający młody mężczyzna może okazać się zwykłym draniem, a subtelna piękność w rzeczywistości jest potworem. Wszystko się w nas burzy przeciw prymitywnej wymowie gołych faktów. Czujemy się nimi urażeni i zamykamy oczy.

Joza nie wzbudzał żadnych romantycznych wyobrażeń. On je spełniał. Był zaskakująco przystępną iluzją.

Nie pasował do schematu.

Pewnej pochmurnej nocy przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby piękno Jozy poczuć pod palcami. Zasypialiśmy każde owinięte swoją kołdrą, ale dotykaliśmy się swobodnie rozrzuconymi rękoma.

– Zamknij oczy, Jozo – powiedziałam.

Zrobił to, nawet nie zapytał, po co.

Przysunęłam się do niego i przesuwając palcami po jego twarzy, centymetr po centymetrze badałam jego brodę, policzki, nos, czoło, usta. Kiedy tę podróż odbywałam po raz drugi, byłam już pewna wyników swego badania.

– Jesteś piękny, Jozo.

Przestraszył się.

– Ja?

– Tak.

Ujęłam jego dłoń i przyciągnęłam ją do swojej twarzy.

– Teraz ty.

Nie powiedział, że zwariowałam, jak zrobiłaby to większość mężczyzn.

Niezgrabnymi palcami próbował mnie głaskać, tak jak ja głaskałam jego. Tylko że ja go nie głaskałam.

Uważał to wszystko za niezrozumiały żart.

Jak świat światem człowiek lgnie do piękna i nie cofnie się przed żadnym głupstwem, by się do niego zbliżyć.

Dotknęłam piękna swojego męża.

## 23.

W odróżnieniu od Żeni Juliszka otworzyła przede mną serce od razu, pierwszego dnia. Dowiedziałam się, że po śmierci rodziców wychowywała ją najstarsza siostra, która sama miała już dzieci. Mogłam to sobie wyobrazić.

Zbieranie szyszek, wycinanie trawy na miedzach, pranie bielizny w lodowatej rzecznej wodzie, obrabianie kartofliska, pilnowanie maluchów i czterech rogatych kóz.

W opowiadaniu Juliszki to była idylla.

Mówiła też o swoich koleżankach ze szkoły: Żeni, Madlence z kuźni, Irczy Mareninie.

W dzieciństwie Żenia się jąkała i co przez to przeżyła, pozostanie jej tajemnicą. Pozbyła się tej wady dzięki Luce. Od tej pory córka leśniczego zaczęła chodzić za Lucką jak cień. Ciągle łamałam sobie głowę nad tym, dlaczego ta okropna baba odpłacała jej taką samą miłością.

Los Madlenki musiałam wydobyć z Juliszki podstępem. Był oskarżeniem chciwej matki. Kiedy jej jedyna córka spadła z sanek i złamała sobie obie nogi, przez czternaście dni trzymali ją w łóżku i czekali, żeby przeszło samo. Lucka dowiedziała się o tym za późno. Zrobiła piekło, ale Madlenka już była kaleką.

Śliczna Ircza Marenina była narzeczoną Wojty Zaleszaka. Przed ślubem porywczy kawaler wdał się w bójkę na noże z młodym gajowym Jurą Machalą, a potem poszedł siedzieć. Matka Irczy zmusiła córkę do ślubu z bogatym właścicielem restauracji w Szadovej Hucie. Tam później Juliszka

znalazła pracę jako pomywaczka i tam, jak mówi, spotkało ją szczęście – przyszła do niej swatka, Lucka Vojniczova. Juliszka wydała się za mężczyznę z szóstką dzieci.

Pavel Juriga nie był wdowcem, nawet nie był żonaty. Żył na kocią łapę z żoną manewrowego ze stacji w Szadovej Hucie. Po urodzeniu szóstki dzieci jego towarzyska miała dosyć i wróciła do męża. Także dlatego, że w Szadovej Hucie czekał na nią postawiony przez niego dom.

Pavel bardzo kochał swoje dzieci. Nie oddał ich matce. Ta zaś na szczęście nie podzielała jego uczuć do potomstwa. Raczej odetchnęła z ulgą, że jest wolna. Nie wiadomo, czy jej manewrowy przyjąłby ją z szóstką bachorów.

W samotnych górskich siedzibach mieszkało mnóstwo kobiet, które chętnie przystałyby na to, żeby przystojny Juriga je tłukł. Pavel jednak przyjął wybraną przez Luckę narzeczoną, chociaż to strachliwe i niepozorne dziewczę niczym go nie nęciło.

Nim minął rok, Juliszka wydała na świat bliźnięta, tym razem dziewczynki. Pavel skończył z piciem, Juliszki nigdy nie tknął palcem i nawet nie spojrzął na inną kobietę.

Wierność Juliszki była oczywista. KobiECE przygody miłosne miały surowe konsekwencje. Cudzołożnicom najbardziej zatruwały życie właśnie kobiety.

W tej sytuacji zadziwiała mnie duża liczba nieślubnych dzieci. W przypadku dziewczyny niezamężnej lub takiej, która nie miała narzeczonego – nazywanej „przespanicą” – nie miało to najmniejszego znaczenia.

Od Juliszki dowiedziałam się o zielarce zaskakujących rzeczy. Jej rodzice handlowali guzikami. W jednej izbie mieszkało ich dwanaście osób. Nie mieli łóżek, rozścielali sobie na ziemi słomę, a rano zgarniali ją w jeden kąt. Latem sypiali na stryszku. Dzieci dorastały i rozchodziły się po świecie. Tylko Lucka – najmłodsza – została w rodzinnej wsi.

Ubiegał się o nią – wówczas piękną dziewczynę – dziadek Ženi, obrotny gospodarz, przystojny właściciel tartaku. O ich rozstaniu krążyły rozmaite pogłoski. Pewne jest jedno, że zanim do tego doszło, zalotnik odniósł ranę tłuczoną głową, po której do dzisiaj ma kilkucentymetrową bliznę.

Juliszka opowiadała też o Jozie.

Ślub nie był dla niego łatwym przedsięwzięciem. Sprzeciwiała się mu kowalka, dla której był niezastąpioną, a przede wszystkim bezpłatną siłą roboczą.

Kowal był leniem i opojem. Mimo to wiodło im się dobrze, żona trzymała go krótko. Piętnastoletni Joza, kowalski uczeń i sługa, przysparzał im bogactwa. Im lepiej władał rzemiosłem, tym częściej jego pan, pod pozorem, że wyjechał w interesach, zaszywał się w kącie szynku u Latała, gdzie z kuźni nie można go było wypatrzeć.

Stopniowo Joza przejął wszystkie jego obowiązki. Podkuwał konie, robił pługi, grabie, siekiery, motyki... Sława jego zręczności szybko rozniosła się po całej okolicy, interesy kwitły. Do żelarskiej gospody całymi dniami zjeżdżali klienci. Joza harował od świtu do nocy.

Oprócz tego pracy dostarczał kuźni tartak oraz pańskie lasy. Pieniądze, zarobione rękoma Jozy, zgarniała kowalka, napiwki przepijał kowal.

Tak się toczyło życie, aż do tego lata, kiedy w miesiącu żelarskich odpustów we wsi pojawił się Tonti, podstarzały komediant, człowiek waż. Z gospody miał dobry widok na to, co dzieje się po drugiej stronie drogi, i nie brakowało mu czasu, żeby zastawić sidła. Kowalka wpadła w nie z łatwością. Uległa śmiesznym złudzeniom, nabrała się na jego udawaną namiętność. Kowal, który od dawna bardziej kochał szklanicę niż własną żonę i nie miał władzy nad żadną z tych sił, przyjął nowego czeladnika bez mrugnięcia okiem. Nienasycona baba znalazła Jozie pracę w tartaku, w kuźni miał pomagać tylko w niedzielne wieczory. Za to pozwalała mu mieszkać w komórce w podwórzu, gdzie dawniej trzymała kozy, i dawała mu wieczerze. Joza nie buntował się przeciwko temu, że przybyło mu roboty.

W zimie kowal się przeziębił, dostał gorączki i umarł na „kurcze w brzuchu”.

Ledwie kowalka zdradziła się z tym, jak jej pilno do ślubu, Tonti połapał się, co go czeka, i wziął nogi za pas. Razem z nim zniknęły książeczki oszczędnościowe.

Kiedy Joza wrócił ze szpitala z zamiarem ożenku, gospodyni była pewna, że wybiję mu z głowy ten szalony pomysł.

Przeliczyła się.

Więc przynajmniej obgadała go w całej wsi, sycąc chętne uszy wyssanymi z palca smakowitymi kąskami. Ludzie zaczęli patrzeć na Jozę, jakby mu w szpitalu przyszyli drugą głowę.

W całą historię wmieszała się Lucka. Po krótkiej rozmowie wdowa, blada jak płótno, dała się urobić jak glina. Rozmawiały o przedśmiertnych męzowskich kurczach w brzuchu.

Za radą Lucki Joza się wyprowadził. Sypiał w oborze Jurigów.

Kowalka oddała kuźnię w pacht. Przeniosła się do dawnej komórki Jozy, gdzie zmagala się z morderczą samotnością. Wysiadywała u grobu córki Madlenki i rzewnie ją oplakiwała.

Tak więc Lucka była ostatnim ogniwem łańcucha, który związał mnie z górską wsią, w której razem z Jozą zaczęliśmy obracać się wokół jednej osi.

Dokonałam nieoczekiwanego odkrycia. Znalazłam się w nowej rzeczywistości – poza światem sensów, za progiem dawnej świadomości. Przeżywałam ją dzięki rozbudzonej intuicji, a może pamięci, nie wdając się w czcze rozważania.

To doświadczenie całą mnie przenicowało.

Hierarchia moich „nienaruszalnych wartości” stanęła w ogniu, a pogorzelnisko zaczęły porastać pojedyncze źdźbła młodej trawy. Darń, po której będę szła bosą.

Moja wolność wewnętrzna zaczęła się wypełniać jak pusta czara.

Zachodziłam do Juliszki, kiedy tylko miałam ochotę, i starałam się być jej pomocna. Nie zawsze mi się udawało. Na przykład nie dałam sobie rady z drewnianą maślnicą. Dopiero Juliszka moje niewydarzone ubijanie doprowadziła do pomyślnego końca, a ja dostałam garnek niezwykle delikatnej maślanki z pływającymi w niej grudkami masła.

W czasie monotonnej pracy, mimo wszystkich kłopotów i drobnych zmartwień z dziećmi, nigdy nie zauważyłam, żeby żona Pavla była w złym humorze, zagniewana albo niezadowolona. Jej dzień był radosną pieśnią, zakończoną z nastaniem wieczora uroczystą fanfaramą – powrotem Pavla.

Do wszystkiego potrzebny jest talent. Do szczęścia też.



## 24.

Znałam Luckę jako wściekłą jedzę, ale kiedy poznałam jej prawdziwy gniew, zaparło mi dech. Ogarniała ją furia. Miotła przekleństwa tak, że nie sposób ich było rozróżnić i przypominały szczekanie rozwścieczonego zwierzęcia. Zmieniała się w szalejący żywioł i nie było w ludzkiej mocy stawić jej opór.

Kiedyś rzuciła się na młodego Kutinę, a był z niego chłop jak dąb i mógł ją zmiażdżyć jedną ręką. Zdzieliła go pięścią między oczy i rozkwasiała mu wargi.

Siła fizyczna jest niczym, jest śmiechu warta, jeśli w człowieku bierze górę bies, któremu niepotrzebne jest ciało.

W ułamku sekundy wytworzyła wokół siebie atmosferę grozy rodem nie z tego świata. Dopiero przyjście księdza położyło tamę jej szaleństwu.

Wzięła go za łokieć – nagle zupełnie spokojna – i poprowadziła do łóżka. Ruchem dłoni odprawiła wszystkich obecnych oprócz mnie. Skuliłam się w kącie.

Muszę wrócić do tego, co było przedtem. Siedzieliśmy na łączce Pazdery, Żenia, Lucka, Joza i ja. Trójka dzieciaków Kutiny przyszła z wiadomością, że mama leży w szopie, nie rusza się i leci z niej krew. Trzymały się za ręce, dodając tym sobie odwagi. Najstarszy ze szkrabów miał pięć lat.

Stały w otartych drzwiach. Milczały.

– Co się stało? – odezwała się Lucka.

– Mamusia spadła... – powiedziało najstarsze.

– ...z drabiny – dodała dziewczynka.

– Co robiła?

– Zrzucała siano.

– Siano?

– Widłami.

– Kiedy to się stało?

– Rano.

– Rano?

– Rano.

Wyczułam, jak w Lucce wzbiera fala wściekłości, czułam, jak pęcznieje. Mój mąż zbladł. Dzieciom kazał iść na plebanie.

– I nie zapomnijcie powiedzieć, kto was posyła.

Przed chałupą Kutiny natknęliśmy się na starca, który widocznie dostrzegł nas z okna i wyszedł nam naprzeciw. Po zapadniętych policzkach ciekły mu łzy.

– Młoda poroniła – wyjąkał.

– Tak! – chrapliwie szczeękła Lucka. – A kto ją zostawił, żeby pół dnia leżała na ziemi, jak spadła z drabiny? Bo Maćkowi, twojemu udanemu synalkowi, nie chciało się ruszyć widłami i naszykować karmy?

– Moja mówiła...

– Co mówiła, zgniłku, co mówiła?! Chyba nie to, że dwa razy do niej zaglądała?! Że odpędzała od niej zaryczane dzieciaki?! I zacierała rączki, że nareszcie się pozbędzie swojej zmory?!

– Co też mówicie? Ja przecież Aninkę kocham!

– No jasne, ty niedojdo – ryknęła stara. – Ale z babską halką nie umiałeś sobie poradzić, co? Na co ci wisi w stajni bat?

Wróciła do izby. Młoda – biała jak wosk – leżała na łóżku. Stara zastąpiła Lucce drogę.

– Nikt was nie wzywał!

– Nie? Ty mnie wezwałaś, kanalio!

– Macku, słyszysz jak ona się do mnie odzywa?

– Słyszysz, nie jest głuchy – przerwała jej Lucka. – Zamknij gębę, bo będzie ci brakować paru zębów, jak za pół roku staniesz na Sądzie Bożym, a Pan cię zapyta o twoją synową Annę!

Kutinka pozieleniała na twarzy. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ponure proroctwa Lucki się nie ziściły.

– Pójdę po doktora – zaproponował teść, który wślizgnął się do środka.

Lucka wybuchła śmiechem, od którego zrobiło mi się słabo. Obie wiedziałyśmy, że to koniec.

Macek spróbował wypchnąć Luckę za drzwi i odegrała się scena, o której już wspomniałam.

Ksiądz przysiadł na wskazanym miejscu, czyli na skraju łóżka, i zamiast odmawiać modlitwy, powiedział:

– Nie bójcie się, przychodzi do was spokój.

W odróżnieniu od Lucki proboszcz do każdego mówił na wy, nawet jeśli znał go od dziecka.

Ujął dłonie kobiety i przytrzymał je w swoich. Jej spojrzenie pojaśniało, jakby naprawdę przestała się bać.

Chciałabym tak umierać.

Kiedy wracałyśmy, zapytałam Luckę, nie kryjąc zdziwienia:

– Mówiliście o Sądzie Bożym. Jesteście wierząca?

– Ja nie. Ona.

– Ale skąd możecie wiedzieć...

– A ty nie zauważyłaś, że jej dni są policzone? Te obrzmiałe kośluny, ślepie, kolor skóry...

Krew uderzyła mi do twarzy, poczułam uścisk w gardle. Oczywiście, że zauważyłam. Ale dopiero teraz to do mnie dotarło.

Lucka palnęła mnie w plecy. Pomogło, o mało nie pocałowałam jej za to w rękę.

Luckę można tylko bez reszty kochać albo nienawidzić. Choćby na zmianę, ale nic pomiędzy.

W domu rzuciłam się Jozie w ramiona. Wysłuchał z przejęciem moich skarg i nic nie powiedział.

W nocy, kiedy nie mogłam usnąć, wciąż miałam przed oczyma trójkę małych, przerażonych dzieci.

Usnęłam dopiero nad ranem, ale zaraz się obudziłam, do mojego snu wdarł się gestapowiec.

Pokój wypełniała poświata. Leżąc, widziałam, jak światło odbija się od ściany pomiędzy stropem i podłogą. Odwróciłam się do okna, żeby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz.

Ogród był pokryty śniegiem. Na gałęziach drzew leżał biały pył. Podniosłam się i wskoczyłam w kapcie. Słyszałam, jak Joza siada.

– Popatrz, Jozo! Pierwszy śnieg!

– To nie śnieg.

– A co?

– Księżyc.

Zirytowało mnie to.

– Na miłość boską, Jozo, obudź się! – Chciałam, żeby to zabrzmiało ostro, ale bez złości. – Wiem, jak wygląda śnieg! Mam oczy!

Podbiegłam do okna. Na zagonach leżała warstwa śniegu.

Wybiegłam do sieni, z impetem otworzyłam drzwi, chciałam ulepić ze śniegu kulę i przynieść ją Jozie do łóżka.

Ale po tej stronie ogród był tylko ciemnym rozkopanym pasem ziemi. Krzewy i drzewa były czarne. Lodowaty okrągły księżyc wisiał w powietrzu niebezpiecznie blisko ich wierzchołków, ostrych jak igły i przygotowanych do obrony. Zamarłam.

Wyczułam, że stoi za mną Jozo, i odwróciłam się plecami do swoich iluzji, które legły w gruzach. Wyciągnął do mnie otwartą dłoń. Złożyłam na niej zmarzniętą pięść.

– Masz rację, Jozo. To nie śnieg.

Widziałam, że jest mu przykro.

Za ile takich iluzji gotowa byłam walczyć, za ile oddać życie?

Śnieg zaczął padać dopiero pod koniec października. Właśnie wtedy zaczęłam dziergać dla Jozy sweter pod choinkę.

Przyjął mój prezent ze wzruszeniem.

Dla mnie sam uszył filcowe buty z cholewami, zrobił prześliczne pudełko na przybory do szycia i Bóg wie skąd zdobył tabliczkę czekolady.

Były to cudowne święta Bożego Narodzenia. U nas, u Żeni, u Jungów. Spotykaliśmy się codziennie aż do Trzech Króli – oczywiście nigdy nie brakowało Lucki.

W Wigilię brnęliśmy przez zwały alabastrowego śniegu na pasterkę do rozświetlonego kościoła. Drogę przecierali Joza z Pavlem, orszak zamykała Lucka, która wybrała się nie na mszę, tylko do karczmy na śliwowicę.

Przed kościołem wmieszaliśmy się w tłum pozostałych mieszkańców wsi w świątecznych haftowanych kozuchach. Niezameżne dziewczęta szły w trzaskającym mrozie z gołymi głowami, jeśli nie liczyć wstążek zdobiących szeroko splecione warkocze. Niemowlęta niesiono w kożuszanych becikach, w których sobie spokojnie spały. Ich obecność w świętym miejscu była nieodzowna.

Wigilia dotknęła także mojego bezbożnego serca. Dzięki żarliwości modlitw, pieśni, dzięki pokornie pochylonym głowom. Żaden bóg nie może odrzucić tak szczerych głosów.

Joza klęczał na lodowatych kamiennych płytach i niemal dotykał ich czołem. Przyklęknęłam obok niego i naśladowałam jego gesty.

Przez cały ten czas nie myślałam ani o Bogu, ani o swoich grzechach, tylko o moim kajającym się mężu.

Ile to razy się nasłuchał, że zmarnował życie matce, chociaż dla niej zawsze był całym jego sensem i najdroższym skarbem. Im bardziej uświadamiał sobie jej miłość, z tym większym bólem mógł ją unieść. Mogła wyjść za mąż (według powszechnych przekonań jest to celem wszystkich kobiet), gdyby nie on, gdyby nie to, że istniał i stał temu na przeszkodzie.

Teraz martwił się przeze mnie. Wyrwał mnie z otoczenia, które było moim domem, pozbawił przyjaciół i pozycji, zmusił do życia w górskiej chałupie, w której czekało mnie tylko niewolnictwo niewykształconej dziewczuchy.

Wracaliśmy wydeptaną ścieżką, już nie musiałam uważać, gdzie stawiam nogi. Rozglądałam się dokoła. Gałęzie uginały się i pękały pod darem śniegu.

Razem z robotnikami leśnymi i innymi chętnymi do pomocy chodziłam otrząsać tę niszczycielską siłę. Joza uczył mnie przy tym rozpoznawać ślady. Udręka leśnych zwierząt działała na mnie tak jak udręka ludzi.

W ogrodzie wybudowaliśmy karmniki. Wypełniałam je ziarnami słonecznika, kruszonym chlebem, na haczykach wieszałam kawałki łożu. Przesiadywałam przy oknie, a nasi stołownicy byli na wyciągnięcie ręki. Mój mąż cierpliwie powtarzał mi ich nazwy. Mysikrólik, zaganiacz, dzięcioł, krętogłów, grubodziób, pełzacz...

Lucka nazwy ziół i grzybów wpajała mi zupełnie inaczej. Wymieniała jeden po drugim dwadzieścia gatunków, a kiedy się myliłam, nie mogła się nadziwić mojej tępocie.

Nie miałam nic przeciwko temu. Bawiła mnie jej gderliwa surowość. Szybko mnie przejrzała i śmiała się swoim najłagodniejszym śmiechem.

Po świętach wioskę obiegła nowina. Dotarła i do nas. Chodziło o młodą Szedinova – ni stąd, ni zowąd zniknęła ze wsi.

Widziałam ją przy pracy na poletku na zboczu. Zadziwiła mnie swoim wyglądem. Wychudzona, na pierwszy rzut oka anemiczna, wyniszczona jakąś chorobą albo niedożywieniem.

Powiedziałam o tym i o swoich obawach Lucce, ale ta tylko machnęła ręką. Zimą nikt ani nic w górach nie zginie. Zostanie po nim ślad. Jest najbardziej prawdopodobne, wieszczyła stara, że młoda odeszła z domu do krewnych, bo już miała dosyć, że zamiast wdzięczności co sobota spotyka ją bicie.

Stosunki rodzinne u Szedinów były powszechnie znane. Franta, krewki osilek, na którego mówili Awanturny, spotkał na odpuszcie swoją dawną dziewczynę i przyprowadził ją do domu. Została na stałe.

Jego ojciec też był udany. Owdowiał, lecz nie ożenił się po raz drugi. Gospodarzył na skrawku ziemi pośród lasów, sam sobie gotował, prał i sprzątał. Ci, którzy poznali go bliżej, twierdzili, że w domu ma jak w pudełeczku.

Z niejasnych przyczyn nagle zaczął stronić od kobiet. Wszyscy się z niego podśmiewali, ale zawsze za plecami.

Z synem się nienawidzili. Skazany na samotność, żył w chacie na porębie, ze starym koniem i krowiną.

Wydawało się, że przypadek Szedinovej popadnie w zapomnienie.

Po kilku miesiącach sprawa powróciła. Młoda się znalazła tak samo nieoczekiwanie, jak zniknęła. Tyle że u teścia.

Ta sytuacja zrodziła wiele pikantnych plotek.

Natknęliśmy się z Lucką na tę niezwykłą parę, jak żęli pierwszą trawę. Fura była już załadowana. Szedina zaprzęgał konia. Podsadził synową, potem wskoczył na kozioł obok niej i cmoknięciem zmusił srokacza, żeby pomału ruszył.

Spojrzałam pytająco na Luckę.

– Jak to się skończy, kmoterko?

– Wszystko już jest skończone, Hanulko.

Stanełam jak wryta i patrzyłam na nią w kompletnym osłupieniu.

– Nie rozumiem.

– A co tu jest do rozumienia?

Nie rozdarła się na mnie jak zazwyczaj, widać miała swój dobry dzień.

– Ale ta druga...

– Ta dziewczucha Franty? No tak, dziewczyno, każdy chłop ma inny gust. Tej w to graj. W każdym razie pojawiła się w samą porę.

– Ale... mówią, że stary nienawidzi kobiet. Jak może u niego mieszkać?

– Ma się jak pączek w maśle.

– Ale... dlaczego przyszła do niego dopiero po pół roku? – powiedziałam podniesionym głosem. Lucka mnie zirytowała.

Na to stara wybuchła śmiechem, który zawsze doprowadzał mnie do szału.

Uniosłam się.

– Przecież to niemożliwe, żeby wszystko wyszło na jaw dopiero teraz?!

– Możliwe, Hanulko.

– Jak to?! – nie poddawałam się. Wszystkie żelarskie tajemnice były znane całej wsi zaraz następnego dnia.

– Nie chcieli o tym trąbić.

– No to... jak mogli tak długo utrzymywać to w tajemnicy?

– Niczego nie trzymali w tajemnicy – powiedziała zagadkowo. Stroiła sobie ze mnie żarty?

Przez chwilę szłyśmy w milczeniu.

– Myślicie, że oni ze sobą żyją?

Lucka zarżała.

– Przecież jest w piątym miesiącu.

Ugięły się pode mną nogi.

– Nic po niej nie widać...

– Trzeba się było lepiej przyjrzeć. Powinno cię też tknąć, dlaczego stary podsadza ją na wóz jak porcelanową lalę. I jeszcze, że mu nie pomagała, kiedy ładował trawę. Siedziała na ziemi i patrzyła na konia, jak się pasie. – Wydało mi się, że Lucka westchnęła. – Tylko stary chłop może mieć dla baby takie względy. I to nie każdy.

Nigdy, nawet do sądnego dnia, nie nabędę takich nadprzyrodzonych zdolności jak Lucka. Albo ma niezwykle dar spostrzegawczości, albo – mam zacząć wierzyć w cuda?

## 25.

Coś się zaczynało dziać.

Azor dawał mi znać, kiedy obcy, w pojedynkę albo w grupkach, przechodzili koło naszej chałupy. Wybiegał im naprzeciw i sumiennie próbował ich odstraszyć. Kiedy znikali, wracał do mnie i obwieszczał zwycięstwo. Poszturchiwał mnie, wywijając ogonem, i chrapliwie poszczekiwał.

Azor z natury był melancholikiem. Skarcony za ślady mokrych łap na podłodze albo jakieś inne głupstwo, chował się w swojej kryjówce za piecem i pogrążał w smutku. Trwało to długo, dopóki stamtąd nie wylazł, zwabiony



moimi słodkimi słówkami – wtedy znowu zastępował mi drogę i patrzył na mnie wyczekująco. Kiedy go pogłaskałam, incydent był uznawany za niebyły.

Karcenie Azora należało do mnie. Joza nigdy go nawet nie zganił.

Nie poświęcałam Azorowi i jego humorom specjalnej uwagi, do czasu aż kiedyś upuściłam mu na łapę gorące żelazko. Zaskomlił z bólu, ale nie schował się za piecem. Skakał na mnie i przeproszał. Karę, która spadła na niego niespodzianie, uznał za sprawiedliwą i odpowiadającą jego – co prawda niejasnemu – ale widocznie straszному przewinieniu.

Olśniło mnie.

Wzięłam psa na kolana, nazwałam go starym wypsielcem i uszastym draniem (to lubił najbardziej) i głaskałam po rzadkiej, siwej sierści. Na dowód przywrócenia do łask pozwoliłam, żeby przejechał mi jęzorem po twarzy.

Przyjął to bardzo serio. Trząśł się z radości i popiskiwał. Pod wpływem fali miłości, jeszcze zanim poszłam się umyć, zaręczyłam mu własnym honorem, że już nigdy nie padnie ofiarą ludzkiej nieuwagi i małostkowości – przynajmniej nie z mojej przyczyny. Już nigdy nie zranię jego uczuć.

Pomyślałam o Jozie.

Będę musiała bardziej uważać na smutki mojego męża.

Joza, jak mówiłam, nigdy nie skarcił Azora. Czasami, kiedy pies uznawał, że się nudzi, bawili się razem w przeciąganie szmaty. Kundel wciskał mu do ręki obśliniony gałgan i poszczekiwaniami zmuszał do zabawy. Tak się w niej zapominał, że aż groźnie warczał. Joza bez trudu chmajtynałby go na tej starej skarpetce pod sufit, ale w tym turnieju zawsze „przegrywał”. Azor szalał. Gdyby to od niego zależało, szarpałoby się tak, dopóki nie padłby trupem z wyczerpania. Za każdym razem było mu mało.

Czasami siłowali się na podłodze. Żeby urozmaicić program, Joza niekiedy symulował jęk bólu. W jednej chwili przerażony Azor zaprzestawał ataku, siadał i natychmiast przypadał do „rannego”. Joza powalał go na podłogę, podskakiwał, trzymając go w uścisku, podrzucał w górę i łapał.

Taka zabawa wykańczała Azora. Wyzuty z sił kładł się i spał kilka godzin.

Muszę wspomnieć i o tym, jak został „ojcem”. Z wieczornego spaceru przywłókł się kiedyś za nim bury kociak. Usiedli oboje przede mną – akurat latałam Jozie spodnie – że niby co na to powiem.

Nie powiedziałam nic.

Poddałam kociaka oględzinom i stwierdziłam, że to mały kaleka. Kikutek ogonka, zdeformowane łapki. To, że w ogóle przeżył, uznałam za jeden z cudów, którymi przyroda stale nas zaskakuje. Azor oddawał się zdechlakowi ciałem i duszą. Bawili się na przykład tak, że pies kładł się na plecach, a kociak bujał mu się na brzuchu. Oczywiście spał z nami w łóżku. W odróżnieniu od psa miał bardzo rozwinięte poczucie higieny. Ale za to drapał nam siennik.

## 26.

Oddziały zbliżały się do granicy Po okolicy krążyły coraz to nowe wieści. A ponieważ ludzie wierzą zawsze w to, w co chcą wierzyć, rósł entuzjazm: niemiecka kobieta nie wie, że jest kobietą. Czeska kobieta jest szczęśliwa, że nią jest.

Najpierw przez wieś przeszła grupa mężczyzn z czechosłowackiej brygady. Tylko przez nią przemknęli.

Mówili o przeprawie przez Karpaty, o polach minowych pod Duklą. Mieli jedno pragnienie: spać. Rozkaz brzmiał: naprzód, więc szli.

W marszu kobiety podawały im zawiniątka z jedzeniem i butelki z piciem. Obejmowały ich, całowały. Słyszały niewyraźne ostrzeżenia, które tonęły w ogólnym entuzjazmie. Ani przez chwilę nie przypuszczały, że to, co nadchodzi, to wojna.

Braterstwo mowy, tradycji, symboli.

Wróg – zmieniony w abstrakcję – goni w piętke.

Tak ma być. Ziemia musi wytchnąć.

Minie może parę lat, zanim znowu wstrząśnie nią nowy gwałt (pokój zawsze zawiera się na wieczność), doskonalszy o nowe środki, nad którymi już gorączkowo pracuje ludzka inteligencja.

Ludzkość się rozprzestrzenia i jak ryba żyjąca w głębinach zmierza w górę, aby w chwili własnej zagłady zobaczyć niebo.

Żelary, osadę pijaków, krzykaczy i przemytników, ogarnęła euforia. Wieś uświadomiła sobie, że po jej lasach i skałach kroczy historia. Historia przez wielkie H, wspinała zwłaszcza tam, gdzie czuć ją trupem.

Pies zerwał się z łańcucha i wyszczekiwał swoją radość, swoją wolność, swoje prawo do życia. Nie ma pojęcia o sznurze, który już jest przygotowany i pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy trafi na jego szyję.

Nareszcie Rosjanie! Wszyscy są Rosjanami, nawet ci skośnoocy. Brudni, zdziesiątkowani – ale nasi.

Zapłonęły watry, znoszono i składano pod gołym niebem ogromne ilości jedzenia, otwierano butelki. Mężczyźni uczyli jedni drugich nieznanym tańców.

Nie przyłączyłam się do tego dzikiego świętowania, nie mogłam się na to zdobyć.

Miałam wrażenie, że tkwi we mnie jakaś lodowa kula.

Przyglądałam się z daleka, Joza stał obok mnie.

W pamięć wrył mi się refren pieśni, która rozlegała się po górach we dnie i w nocy. Śpiewali ją żołnierze, ryczał gramofon. *Wsio na swietie tryn-trawa!*

Niebawem wyszło na jaw przerażające znaczenie tych słów. Iskra wystrzeliła na końcu wsi, za gajówką. Zgwałcono tam Alenkę Chovancovą. Jej czterej bracia, sami już podpici, w odwecie zmasakrowali uzbrojonego gwałciciela. Najbardziej okrutnie poczynił sobie najmłodszy z nich – jedenastolatek.

Ofiarą gwałtu padła także Żenia Pazderova, która mieszkała w chałupie bez żadnego mężczyzny. Na wpół oszalała Jirzinka przybiegła pędem do ognisk rozpalonych na placu pośrodku wsi, upadła na ziemię i miotła się w

spazmach. Podniósł ją pijany żołnierz, a kiedy ją dokądś unosił, na drodze stanął mu żelarski ksiądz. Dostał w serce.

Na plebanii z nożem w ręce broniła się jego gospodyni, Zuzanka Popelova. Żeby nie Azor, mogłam i ja znaleźć się wśród ofiar gwałtu. Obudził nas wściekłym szczekaniem. Joza stanął w drzwiach z siekierą w ręce, a przed nim w szarości rozpląnął się jakiś cień.

Niezwykłe przeżycie spotkało Luckę.

Żołnierz, który nad ranem wdarł się do jej izby, zobaczył w pościeli głowę spokojnie śpiącej dziewczyny. Zanim się obejrzał, już miał rozbity nos. Obraza wywołała w nim dziką furję. Wtedy po raz pierwszy Lucka komuś uległa i jej ciało poznały ślady ciosów.

Nagle napastnik dostrzegł długie, siwe rozpuszczone włosy. W jednej chwili wytrzeźwiał, padł starej do nóg i objął ją pod kolana tak, że nie mogła się ruszyć, całował je i zalewał łzami.

– Mamasza! Mamasza!

Wziął ją na ręce i kołysał w objęciach, łkał z rozpacz, nie mógł się uspokoić.

– Przestań, durniu – powiedziała stara, kiedy miała już tego dosyć.

– Ja Sasza! – odpowiedział, wciąż szlochając.

Pokój zaprowadziła butelka śliwownicy. Rano Jungowie zaskoczyli ich w głębokim śnie. Lucka leżała Saszy na piersiach, jak na poduszce. Zastrzelili go, zanim oprzytomniała na tyle, żeby się za nim wstawić.

Nastawał świt, a Żelary ogarnęła gorączka. Nastąpił koniec braterstwa. Koniec wspólnych pijatyk. Gniew zjednoczył wieś. Zza belek w stropie wyciągano strzelby. Ostrzono siekiery i noże.

Żołnierze nie spodziewali się oporu. Dotąd żadna wieś się nie broniła. Około dwudziestu z nich zostało zastrzelonych przy dogasających ogniskach, gdzie beztrąsko polegiwali, drzemali i przekazywali sobie z rąk do rąk butelki. Winny, niewinny, wsio rawno. Zanim dotarło do nich, co się dzieje, leżeli we krwi.

Uderzenie było tak szybkie i niespodziewane, że góralom udało się zdobyć kilka samopałów.

Kobiety z małymi dziećmi pakowały tobołki i uciekały między skały. Z obór wyganiano zwierzęta.

Wojna wgryzła się w zapamiętałą wieś i połykała ją żarłocznie. Już płonęły pierwsze zabudowania. Wiadomości o walkach przewalały się przez dolinę jak czarny dym.

Z Szadovej Huty górskimi ścieżkami przemknęła się grupka kobiet. Ircza Marenina ze swoimi panienkami. Niosły na plecach toboły z prześcieradłami i kocami. Szybko się okazało, że było to przezorne działanie.

Doktor Beniczek przedarł się do nich autem po bezdrożu i przywiózł ze sobą cały swój gabinet.

Zanim żołnierze zwarli szyki, Żelary opustoszały.

Giermancy! – brzmiał bojowy okrzyk. Giermancy! – brzmiało uzasadnienie.

Zaczęli przeczesywać las. Dosięgały ich kule strzelców ukrytych w gałęziach drzew. W Żelarach wszyscy kłusowali, chłopci umieli trafiać do celu.

Drewniane chałupy zmiatał ogień, jedną za drugą.

Nierówna walka trwała kilka dni. Rosjanie nie bali się gór. Znali zdradliwe leśne gąszcze, choć nie tak dobrze, jak miejscowi – pojedyncze grupki żołnierzy wpadały w ich ręce, ale początkowa przewaga nie mogła trwać wiecznie. Technika wojskowa brała górę.

Wieś legła w popiołach, a z kościoła pozostały wypalone ściany.

Razem z doktorem i Lucką pracowałam w prowizorycznym lazarecie, który przenosił się z miejsca na miejsce. Koce od Irczy służyły jako nosze. Przesuwaliśmy się w kierunku starego młyna, ruiny otoczonej bagnami, gdzie kiedyś dotarłam w czasie burzy. Trzęsawisko można było pokonać tajemną ścieżką, po której prowadził nas Vratislav Lipka – jedyny człowiek, który ją znał. W ten sposób znaleźliśmy idealną kryjówkę.

W starym młynie schroniła się grupka niedołączonych starych kobiet i mężczyzn, dwanaścioro dzieci i pięć karmiących matek. No i my, kobiety z lazaretu.

Doktora Beniczka z nami nie było, poszedł walczyć. U jego boku trwała lodowato zimna Żenia.

Muszę wspomnieć o tym, jak Lipka przyniósł swoją siostrę Helenkę. Trzeba było ją związać. Dzieciak rwał się do strzelania i przez całą drogę wykrzykiwał przekleństwa. Co ciekawe, żadne wyzwisko się nie powtórzyło, nawet Lucka nie miała takiego repertuaru.

Żelarskie kobiety walczyły. Z bronią w ręku zginęły dwie miejscowe latawice – kilkudniowa kochanka mojego męża Bieta Latalova i konduktorka z Szadovej Huty Rozarka Jakubikova.

Doktor zarządził, żeby przynosić do nas również rannych Rosjan. Chłopi nie sprzeciwili się otwarciu, ale też nie usłuchali. Rannych zabijali w lesie czekanami. Tylko raz przyprowadzili nam dla przykładu żołnierza, młodego chłopaka, który na obu rękach, od nadgarstków aż po łokcie, miał całą kolekcję zegarków. Kiedy złożyli go na ziemi, już nie oddychał.

Jedyną kobietą, która się załamała, była Juliszka Jurigova. Nie chciała odstąpić od umierającego Pavla, całowała go po rękach, powtarzała jego imię, zaklinała go, żeby żył.

Na szczęście zemdląła, kiedy zrozumiała, czyja krew na nią spływa. Odniesiono ją w prześcieradle od Irczy.

Do wsi zwałiła się nowa fala wojska, a z nią oficer, Słowak.

Mężczyźni przyprowadzili go do nas do lazaretu i wyjaśnili sytuację.

– Nie do wiary... – przerwał. Głos mu się załamał. Ale natychmiast zaczął działać. Z zakrwawioną i prowizorycznie opatrzoną raną na piersiach, prowadzony przeze mnie i jeszcze jedną nieznaną mi kobietę z Czerwonego Krzyża, wyszukał dowódcę sowieckiego oddziału. Wrócił z nim do lazaretu.

– Gdzie Giermancy?! – krzyczał. – Giermancew niet!

Po krótkiej i ostrej wymianie zdań zwołano oficerów i zarządzone zawieszenie broni. Kulomioty przestały na siebie pokrzykiwać.

Nad okolicą, jak kir nad umarłym, rozpostarła się cisza.

Jeńcy starego młyna wyszli na wolność. Widziałam, z jaką czułością obcy mężczyźni w mundurach kołyszają niemowleta, którym zabili ojców, jak odpowiadają gaworzeniem na ich bezzębne uśmiechy i pozwalają szturchać się w policzki. Zachowanie jednego z oficerów miało wymiar symbolu. Odczepił od munduru jakieś odznaczenie i przypiął je do becika.

Wtedy doszło do tego, co musiało się stać, czego oczekiwałam.

Przynieśli Jozę. Kiedy w końcu się przyznał, że jest ranny – było już za późno. Usiadłam przy nim i wzięłam jego głowę na kolana. Patrzył na mnie i starał się coś powiedzieć. Dobrze wiedziałam co.

W beczasie ostatniego spotkania uświadomiłam sobie wyjątkowość naszego związku. Dotarło też do mnie, że tutaj w górach, w tej magicznej krainie, przeżyłam swój własny cud.

Byłam przy mężu, dopóki biło mu serce. Potem odeszłam do swoich obowiązków. Dopiero po godzinie zrobiło mi się ciemno przed oczyma.

Azor umarł na grobie Jozy przed nastaniem rana.

Wojskowymi samochodami przewieziono nas do Szadovej Huty.

Żelary zniknęły z mapy.

*Wsio na swietie tryn-trawa.*

## **27.**

Uważałam za zupełnie oczywiste, że wrócę do szpitala. Przyjęto mnie nieufnie, bo nie kryłam, że brzydzę się rolą bohaterki wojennej.

Kiedy na ścianie gabinetu zabiegowego zobaczyłam zrobione przez Slavka zdjęcie letniego pejzażu z wysokim niebem, zemdlałam.

Z jasnymi intencjami posłali mnie najpierw na oddział dla nerwowo chorych, potem na psychiatrię.

Kiedy przeczytałam zapisy w mojej karcie, dowiedziałam się, że wyzywałam kolegów od niedouków i stawiałam im za wzór jakąś wiejską babę, której w życiu nie widzieli. I jeszcze, że obwiniam ich o pogardę okazywaną mężczyźnie, którego również nie znali, że zarzucam im zapatrzenie w siebie, brak szacunku dla człowieczeństwa (cokolwiek to miało znaczyć), a niektórym wypominam, że ledwie przebrnęli przez egzaminy.

Trwało trzy tygodnie, zanim doszłam do siebie. Ciągłe byłam rozchwiana, po opuszczeniu kliniki sprzeciwiłam się temu, by Slavek miał w szpitalu tablicę pamiątkową. Twierdziłam, że nie życzyłby sobie tego.

W końcu jakoś odzyskałam równowagę. Wróciłam do zawodu i spotkałam się z Richardem.

Przemawiał do mnie tym swoim głębokim, kojącym głosem.

Z tego, co mówił, zostały mi w pamięci tylko strzępki.

– Musisz się z tego otrząsnąć... Musisz o wszystkim zapomnieć... Wiem, jakie to było dla ciebie ciężkie przeżycie.

Z całej tej tyrady najbardziej komicznie brzmiały dwa słowa: szybko i ciężkie. Nie próbowałam mu wyjaśnić, że niczego nie chcę zapomnieć.

– Rozumiem cię, Eliszko.

Eliszko?

– Naprawdę cię rozumiem i wciąż jestem twoim przyjacielem.

Niczego nie rozumiał, a moim przyjacielem nie mógł pozostać, ponieważ nigdy nim nie był.

Z uprzejmości zaproponował mi, że przedstawi mnie swojej żonie, a ja się zgodziłam. Był tym zaskoczony. Spodziewał się odmowy.

Chodziło jednak o inną żonę, młodą i ładną. Tę poprzednią zostawił w Ameryce, razem ze swoimi synami.

Opowiadał mi, jak to jest na świecie. Mówił ogólnie. Zrozumiałam z tego, że wcale nie mają tam lepszych lekarzy, tylko warunki są nieporównywalne.

Kiedy poczułam się niezręcznie, że rozmawiamy tylko my dwoje, wysiliłam swoją kiepską angielszczyznę. Zrozumiał i zaczął tłumaczyć. Jego żona udawała, że ją to interesuje.

Szok innego rodzaju przeżyłam, kiedy ukochana Slavka, Zorka, zwróciła mi złoty zegarek, dar prezydenta Benesa za mój dyplom z wyróżnieniem. Slavek dotrzymał słowa.

Zorka nie powiedziała mi, co się tu działo w czasie mojej nieobecności, a ja nie pytałam. Każda z nas zachowała swoje wspomnienia nietknięte.

Nie obciąłam włosów i czesałam się tak, jak nauczyła mnie Żenia, mimo że było to niewygodne i wymagało dużo starań. Mówią o mnie Zimna Piękność.



Widać było, że małżeństwo Richarda przeżywa kryzys. Młoda Amerykanka, zszokowana Czechosłowacją tak jak ja kiedyś Żelarami, spakowała walizki.

Z mojej strony nie trzeba było wiele – Richard zaprosił mnie do Grandu – żebym została jego trzecią żoną. Miałabym miłego, wykształconego, a dzisiaj pewnie i wiernego męża. Zналиśmy się dobrze i wiedziałam, że znalazłabym w nim oparcie i zrozumienie.

Jednak on nie miałby zrozumienia dla jednej rzeczy.

Gdyby spostrzegł – a spostrzegłby szybko – że w jego objęciach tęsknię do Jozy.

Poruszam się jak żołnierz, któremu rytm kroków wybija werbel. Moja dusza mnie opuściła. Błądzi po górskich zboczach i szuka niepotrzebnych grobów.

**Hanulka Jozy** zamyka cykl opowiadań Květy Legátovéj pt. „Želary”, który przyniósł autorce – w wieku 82 lat – miano literackiego odkrycia, został uhonorowany najważniejszymi czeskimi nagrodami i przez dwa lata nie opuszczał list bestsellerów. Wydarzenia z życia mieszkańców Żelar – zapadłej wioski leżącej w pogranicznych górach – są tu tłem dla historii młodej lekarki Eliszki, która w miejscu zapomnianym przez świat ukrywa się przed gestapo. Aby zatrzeć za sobą ślady, musi wyjść za mąż za miejscowego górala i stać się Hanulką. Delikatna, wychowana w mieście dziewczyna początkowo traktuje wiejskie życie jako tymczasową konieczność, lecz nieoczekiwanie dla niej samej stopniowo wypełnia się ono uczuciem, przed którym Eliszka nie może się uchronić...

Niepowtarzalny poetycko-dygresyjny styl, głęboka analiza psychologiczna i znakomity, klasyczny warsztat pisarski to charakterystyczne cechy prozy Legátovéj, które decydują o wyjątkowości tej niebanalnej historii miłosnej.

**Na motywach noweli Hanulka Jozy Ondrej Trojan w 2003 roku nakręcił nominowany do Oscara film pt. „Želary”**

Patroni medialni:

polki.pl

RadioPiN102FM

zwierciadło

ISBN 978-83-608-5024-4



Wydawnictwo Dwie Siostry

9 788360 850244 >

cena 22,90 zł